za którą tęsknił. Jeszcze jeden dowód, że ostateczności bliskie są siebie.

Na Pomorzu powitali go serdecznie bracia czescy, jak nawróconego grzesznika. Poniatowski sercem i duszą pokochał się w ich urojeniach — Starszyzna poświęciła go na Ministra słowa Bożego i nowy kapłan rozpoczął nowe dzieło apostolstwa. Ożenił się zaraz potem z Zofią na Wierzbnie Pawłowską. Była to córka jednéj z pięknych i mających związki rodzin wielkopolskich. Zofia była także hussytką. To zdaje się naprowadzać na myśl, że i Poniatowski nosił wtenczas historyczne nazwisko. Pawłowscy byli w krewieństwie z Leszczyńskiemi, — jeden z ich rodu ksiądz Biskup Ołomuniecki wsławił się w dziejach dyplomacji domu austryjackiego. Pawłowska jedna, była matką Nideckiego piérwszego Biskupa Inflant. Przez gorliwość zatém dla nowéj nauki musiał mieć Poniatowski i coś jeszcze, co przemawiało za nim i wprowadzało go w wielką rodzinę szlachty wielkopolskiéj.

Zofia Poniatowska jak i jéj mąż chorowała na fanatyzm. Gdzieś w Leszczynie na Pomorzu urodziła im się córka Krystyna 4 marca 1610, po niéj syn Paweł. Matka dzieci swoje od kolebki chciała nauczyć fanatyzmu i wpoić nienawiść do rzymskich obrządków. Ale już Jezuici za bardzo się rozgospodarowali w Polsce — reformatorom ciasno było w Pomorzu. I mąż i żona odgadli siebie, porzucili Polskę, przenieśli się do Czech. Było to w r. 1615. Najpiękniéjsze nadzieje tam zaświtały dla hussytyzmu. Dręczona długo przez Hercogów niemieckich, piękna sławiańsko-czeska kraina, zaczęła się przebudzać ze snu letargicznego. Piękne-to było przebudzenie! Myśl o niezawisłości, o własnym samodzielnym rządzie, zaczęła się wyradzać powoli, znienacka. Wszystkie stronnictwa zlały się w jedno. Wszystkie marzenia stopiły się w jedno. Zdawało się, że na tron czeski powrócą dawne Wacławy i Przemysławy. Chwila uroczysta, pełna uroku, oczekiwania dla całéj słowiańszczyzny! Tego to właśnie nie widział Zygmunt III. i Sejmy

nasze, że nadchodzi chwila, jaka się i w lat tysiąc nie nadarzy dla sławy, dla potęgi narodowéj. Król zajęty nawracaniem niekatolików, nie zwracał uwagi na pobratymców naszych i posyłał Cesarzowi lisowszczyków na pomoc — a Sejmy rozprawiały o wolności. Król inny, król woli czynu, byłby dyktatorem w sprawie Słowiańszczyzny, ocaliłby wiarę katolicką, wyzwolił Czechy, wzniosłby własny naród, pogodził całą Europę. Na nieszczęście, Zygmunt III był ślepy na to wszystko. I dla tego, pod murami Pragi, na górze Białéj, konały nadzieje odrodzonych naszych spółbraci. Całe pole Słowiańszczyzny znowu zaległa noc straszna, okropna, która dopiero za dni naszych ustępuje Jutrzence.

Ferdynand II. słał rozkazy na rozkazy, żeby pognębić myśl czeską i wszystko, co świadczyło o narodowości. Dla tego też i na hussytyzm obróciło się prześladowanie zdobywcy. Imieniem Rzymu i wiary katolickiéj wydał on wojnę na śmierć i życie reformie. A używając tarczy wiary naszéj przeciw jéj przeciwnikom, źle postępował. Bo wiara Chrystusa jest wiarą miłości i pokoju. Nie dręczy, nie prześladuje, ale uczy i przekonywa. To wiara ufności, nadziei, szczęścia, — a w ręku prześladowców zmieniła się w sędziego, co serce swoje nieludzkie, dzikie, zawarł przed każdém uczuciem ludzkości.

Okólnik 1624 nakazywał Ministrom reformy wynieść się z Czech natychmiast za granicę. Biedni wygnańcy kryli się pomiędzy szlachtą i narodem. Ferdynand zatem rozkazem 1627 wydanym 3 sierpnia wypędził z Czech samą szlachtę. Massami tedy porzucali Czesi ojczyznę swoję, przechodzili do głębszych Niemiec, do Polski, na Pomorze i do Pruss.

Wtedy właśnie Pro-Marchio Morawski Karol de Zerotin przyzwał do siebie Poniatowskiego. Było to już imie znane i w Czechach, bo ten co je nosił, stawał w obronie czucia narodowego i prawdy narodowéj. Bał się Zerotin, żeby mąż zasłużony w jego ojczyznie, na lata stare nie żebrał chleba i

i nie błąkał się po świecie żebrając litości. Wiedział o nąuce Poniatowskiego: oddał mu tedy w zarząd swoję Bibliotekę. Był to pozór tylko, — ale pod tym pozorem Minister Czeski był ocalony, przeniosł się też Poniatowski z żoną i dziećmi do Morawii. Zerotin dawał mu dowody przywiązania i szacunku. Rozmawiał z nim często i oświecał się, bo Poniatowski miał dużo wiadomości — zdawało się, że nasz wygnaniec Polski u P. Barona zakończy życie tak dotąd niespokojne, tak burzliwe. Ale inaczéj się stało: z woli niebios corka jego jeszcze ostatek dni starca oplotła obawą, tęsknotą, prawie rozpaczą.

Ta córka, Krystyna, wyrosła właśnie wtedy, na bardzo piękną panienkę. Miała lat 16, kiedy ojciec z Czech do Morawii wędrował. Młodziutka, jeszcze na samem lat zaraniu, widziała przecież dużo i cierpiała dużo. Od lat niemowlęcych z mlekiem piersi macierzyńskich wyssała miłość dla wiary ojca, niechęć dla wiary jego naddziadów. Serce miała czułe. Oburzała ją każda niesprawiedliwość, każdy gwałt. Wyobrażnia obudziła się w niéj całą siłą. Była z natury żywą, — to zamiast osłabiać, powiększało jeszcze jéj cierpienia. Rozmyślała nad tem wiele że niesprawiedliwość szerzy się i szarpie niewinnych. Co komu do tego, jak kto myśli i wyznaje Boga? W rzeczy religii trudno przekonania nakazać. I naturalnie, — kiedy wiara któréj przeznaczeniem, jest! działać dobrocią, wyrodziła się w rękach polityki, i zaczęła działać groźbą i gniewem, zdawało się Krystynie, że naddziadów wiara, jest-to wiara obłudy i fałszu, że działa przymusem, niewolą. Każdy prześladowany obudza spółczucie. Serce czułe chociaż katolickie, litowało się nad losem tysiąca wypędzonych z ojczyzny Czechów. I jak nie miała boleć, litować się Krystyna, kiedy ci bracia Czescy, — to jéj byli spółwiercy, jéj bracia? Zdawało jéj się, że oni cierpią za wiarę, za prawdę. Narodzona z rodziców — fanatyków, otoczona, od dzieciństwa fanatykami, uczona, wychowana od fanatyków, z sercem czułem, z imaginacją zbyt żywą, z uczuciem silném, jak-że niemiała zostać fanatyczką i marzyć? Była nią tedy — i

bardzo naturalnie: była jasnowidzącą prorokinią. A być obojętną — nie mogła.

Przed baczném okiem Rodziców nie uszło to usposobienie Krystyny. Zamiast gasić, rozmowami swojemi nierozsądny może ojciec obudzał w niewinném sercu dziewicy, nienawiść, niechęć dla świata. Ale kiedy rozkaz cesarza zmusił go do opuszczenia Czech, — sam nie wiedział co robić z córką. Ona tak piękna, tak delikatna! wytrzymaż ona tysiączne niewygody podróży? Będzie-ż ona pociechą dni rodzicielskich na starość? Ale zawczesne były te kłopoty. Panie na Morawach wyrywały sobie Krystynę i ojciec szczęśliwy zostawił ją na opiece u Pani Baronowéj Zarębiny, dziedziczki na Engelburgu i Zelkingu. Mąż Pani Baronowéj Wacław Zaręba był podług słów dziejopisa Krystyny, z tytułu Baron, z ciała bestja i prawdziwy Nabal, — jadł, pił, spał i nic nie robił. Żona jego hussytka, oddana marzeniom religijnym, cicha, skromna, pokorna, prędko mu zbrzydła. Pan Baron rzucił ją, — lat kilka nie chciał się z nią widzieć, otoczył się tłumem darmozjadów, próżniaków, — siedział gdzieś w zamku i weselił się i pił. Szczęśliwy człowiek!

Pani Baronowa zaś mieszkała w drugim zamku Branie i jak wdowa, niebędąc wdową, pędziła dni smutne. Rodem Rakuska, miała być wzorem żywym i wcielonym obrazem cnoty. Rada była pani Baronowa, że się rozerwie cokolwiek: słyszała wiele o piękności Krystyny. Przywiózł tedy do niéj córkę szczęśliwy ojciec w październiku 1627 ale już córkę sierotę, bo matka jéj Zofia dręczona zgryzotami, umarła w miasteczku Morawskiém Namesti 27 września 1626.

W Branie zaczęły się jasnowidzenia Krystyny. Biedaczka, dużo cierpiała w życiu. Boleść co truła jéj piersi, musiała wezbrać, — wezbrała też — i wieść długa, szeroka, tajemna rozniosła wkrótce w okoliczne strony, nawet po Europie, że prorokini zjawiła się na świecie.

Zaraz po przyjeździe, — w listopadzie 1627 zaczęła chorować i na twarzy zmienione piękne rysy pokazywały wewnętrzne cierpienia. Jakże też było nie boleć! Niewinna a już wygnanka z własnéj ojczyzny, ledwie się chodzić nauczyła a już musiała się chronić przed fanatyzmem. Ojciec prześladowany kryć się musiał jak zbrodzień, matka ze zmartwień, na ziemi obcéj umarła i jéj oczu garstka ziemi ojczystéj nie przykryła. Bracia, spółwiercy, ludzie niewinni, wypędzeni sromotnie, z hańbą, z siedliska naddziadów swoich, błądzą po świecie i nigdzie dla nich nadziei; nigdzie przytułku, schronienia! Nie miłość — ale gwałt przewodził na świecie. Ona sama, biédna, nieznana dziewica na łasce obcych, tułać się musi, zdaleka od ojca, od brata i sam Pan Bóg wié, kiedy będzie koniec tylu męczarniom. Ze swoim sposobem myślenia, ze swoją wiarą kryć się potrzeba po zamkach, — i nawet w tych zamkach cegły może posłyszą jęk żałoby, doniosą do Wiednia, — a wtenczas nastąpią nowe męki. Nie wolno i czuć i myśleć. I jakże tu nie upaść pod ciężarem boleści? Jak jéj nieupaść, jéj, co tak czuła i delikatna? Jak nie zapłakać na niesprawiedliwość? Biedna Krystyna!

Ale ojciec troskliwy o swoje skarby na świecie, zatruwał jeszcze przyszłość córki. Prócz rozmów z nim prowadzonych, a pełnych słów nienawiści, czytała jeszcze Krystyna książki, których jéj ojciec dostarczał. Najwięcéj przecież lubiła pismo św. a z pisma Apokalipsis Ś. Jana. Książki niepogodziły jéj ze światem, a rozdrażniły ją jeszcze. Czasy, w których żyła, zdawały się jéj podobne do czasów rozdwojonych królestw ludu Bożego. Dziwiła się, czemu na świecie nié ma Proroków. Zdawało jéj się, że ten czas krytyczny przechodu, czas bojów i walki. skończy się kiedyś i nadejdzie epoka czystéj wiary. Myślała, że znów na ziemię zstąpi jaki wielki prorok, choćby Zbawiciel sam i poprowadzi po drodze zbawienia ludzi opętanych przez wiarę przewróconą. I stąd ciągle lubiła zastanawiać się nad pismami proroków Starego Zakonu. Między ich czasami, a swoim

czasem spotykała rażące podobieństwo. I w głowie jéj się kręciło, — i rozum upadał w walce, rumieniec znikał na twarzy, — oczy wpadały, — bladość się rozlewała po licach. Krystyna płakała, marzyła, modliła się! Źle jéj było na świecie, nie wiedziała do czego się wziąść. Biédna Krystyna!

Nareszcie jéj rozum — opętaniec, rozpoczął swoje szalbierstwa. Było to 12 listopada 1627 roku. Krystyna coraz słabsza, coraz więcéj cierpiąca położyła się na łoże — źle jéj było, — boleść dręczyła serce, niepewność jakaś, tęsknota, oplotła umysł znękany dziewicy. Baronowa siedziała przy niéj i wlepiła oczy w młodą swoję wychowankę. Tłum przyjazny domowych otaczał łóżko i patrzał to na niknącą piękność, któréj kroplami upływało życie, to na niemą w boleści i żalu panią zamku. Panowała cichość w sali, a była to cichość grobowa. Każdy stał w swojém miejscu jak wkopany, Krystyna spała, — rozeszli się tedy wszyscy na palcach. Nagle dziewczyna obudza się, podnosi oczy do nieba i zdaje jéj się, że widzi po nad murami zamku miotłę z tysiąca rózeg splecioną na obłokach, — rękojeść miotły zwrócona na północ. — Przestraszona, biegnie, zwołuje wszystkich, żeby spojrzeli na fenomen, ale rózga powoli roztapia się i całe widzenie znika w oczach Krystyny. Chora na wyobraźnią panna Poniatowska, — teraz już sama sobą niewładła. Widzenie to, pośród czystéj fantazji, przeraziło ją gromem. Smutek, przerażenie, malowały się w jéj licach, — przestrach aż do jéj kości zaniosł śmierć i chorobę. Zachorowała znowu ciężko 19 listopada. Nie było żadnéj nadziei. Zarębina wezwała lekarza z miasteczka Arnawii. Ale Doktor Michał Libavius trzy dni dzień i noc siedział nad Krystyną i nic nie poradził. Baronowa w rozpaczy posyła po panią Sadowską do Polski, za granicę, do Trzemeszna i zaprasza Esterę de Wchynitz, żeby była tak łaskawa i przywiozła z sobą do Brany Jana Stadiusa, Pasterza swojego. Stadiusz był przyjacielem Juliana Poniatowskiego i jemu właśnie odjeżdżający ojciec poruczył

w opiekę sumienie córki: Ale jak na nieszczęście, Stadius nie był obecny — Estera tedy wzięła z sobą drugiego Pastora. Był to Czech, tylko co wysłany od spółwierców swoich do Polski, żeby przysposobił dla nich na gościnnéj ziemi schronienie, kiedy rozkaz ogłoszony zamknął dla nich bramy rodzinnych miasteczek. Wysłaniec nieznany nikomu w Branie, przybywa z Esterą do Zarębiny. Spotyka ich stroskana Baronowa w przedpokoju i udziela szczęśliwych wieści, że Krystyna bardzo, bardzo chorowała, ale już zdrowsza, Bogu dzięki. Wchodzą tedy przybyli do pokoju dziewicy — Ponuro w nim, bo zasłonięte okna, żeby oczu nieraziło światło. Cieszą Krystynę, zachęcają do cierpliwości, każą ufać niebiosom. Ale oto — nagle dziewica poczuwa okropne boleści w sercu, — okropne męczarnie dręczą ją, — rzuca się na łóżku, członki jéj ściągają się, — oddech ustaje, — oczy na pół otwarte i na półumarłe. Przestraszeni, poklękali wszyscy i w modlitwie gorącéj polecali ją Panu. Ale Krystyna wstaje nagle, siada, — oczy obłąkane zwraca w ciemny zakąt pokoju, — rumieniec piorunem gdzieś uleciał, — jéj twarz pobladła, jak trup, jak upiór — wyciaga ręce, krzyczy głosem szalonym, głosem rozpaczy: „to oblubieniec! — to oblubieniec.“ I znowu po chwili milczenia, powraca do siebie, oddycha znowu. — „Co ci było Krystyno?“ pytają się wszyscy. — „Ach boli, okropnie boli“ była odpowiedź!

Kiedy uciszyło się wszystko i goście poszli do wieczerzy trawić czas na rozmowach i wyprowadzać tysiące wniosków z tego co widzieli, Krystyna sama pozostała w pokoju, a z nią służące. Po chwili siada znowu, odczytuje ostatnie dwa rożdziały Apocalipsis i zaczyna śpiéwać o wieczném życiu. Dano znać do sali jadalnéj. Przybiega wysłaniec, czeski pastor — wybaduje. Krystyna odpowiada, że jest wezwaną na gody niebieskie (se ad coelestes nuptias evocari).

To było piérwsze nieme widzenie dziewicy. Widziała coś — mówiła tylko, że to oblubieniec, co go widzi. Odtąd te

widzenia, te sny na jawie powtarzały się często. Słuchali wszyscy w podziwieniu. Naturalną koleją rzeczy, z jasnowidzeniami zaczęły się sypać proroctwa i przepowiednie. Przepowiadała zawsze sobie czas tych urojonych wizij. Kiedy czas ten nadchodził, cierpiała boleści, jęczała, rzucała się, — a potém siadała na łóżku, — oczy jéj błyskały ogniem, twarz zawsze bladła, ręce błądziły po powietrzu, a z ust wychodziły słowa urywane i niezrozumiałe. W chwili takich extazyj, Krystyna albo pisała coś, albo dyktowała (bo inni pisali), — i te pisma chowano, przepisywano, rozsyłano, czytano wszędzie. Sława dziewicy, jak prorokini, rosła i rosła.

Na zamek do Branny zjeżdżali się goście tłumami, kiedy wieść o Krystynie szeroko, piorunem rozbiegła się po okolicy, zajrzała do Polski, — obiegła Czechy, poleciała na Niemcy. Pastorowie czescy byli najliczniejsi na zamku. Pochlebiało im to, że w swojem wyznaniu znaleźli prorokinię, co przepowiadała upadek innéj wiary i prześladowców, zapewniała tryumf reformowanym wyznaniom. Bo nie wiem, — co tu grało rolę — podstęp z ich strony, czyli też dobra wiara, ale oni wierzyli w Krystynę, jak Żydzi wierzą w Messjasza. Prędzéjby można przypuścić, że wierzyli na prawdę, bo z ich strony, ileż to było tryumfu, ile wynoszenia się, ile pychy! Zwoływali sobory i mówili na nich o Krystynie z entuzjazmem!

Libaviusz nic nieporadził: Baronowa wezwała swego nadwornego Doktora Jerzego Lohmüllera, ktory wrócił niedawno z dalekiéj podróży. Ale nowy lekarz był świadkiem nowéj wizji. Według przepowiedni, o 7 godzinie wieczorem dnia pewnego nastąpiły boleści, a potém Krystyna siadła i patrzała w kąt obłąkana, niemowa. Ktoś wchodzi, — dziewica wyciąga ręce, bierze go za rękę, mile się do niego uśmiecha, całuje ustami powietrze, przymila się, głaszcze, — wszyscy stoją przerażeni, bo wierzą, bo fanatycy. Doktor dotyka się pulsu, ale puls nie bije; przybliża się, — oddechu nié ma w płucach; patrzy w oczy — i oczy nie błyszczą, nié ma w nich światła. A kolor twarzy tak

piękny, tak uroczy, że istotnie malarz w najbujniejszéj wyobraźni swojéj, nicby podobnego nie stworzył. Lohmüller założył ręce: zgadł, co to była za słabość i powiedział Zarębinie: „tu moja sztuka nic nie poradzi." Ale Baronową nagle owładło natchnienie, — uklękła, oczy podniosła, ręce wyciągnęła: „to święta dziewica, to prorokini, — Boże mój, dzięki Ci, dzięki, żeś mi śmiertelnéj na ziemi, dał widzieć obraz wiecznego życia na niebie!" – Odtąd Krystyna była prorokinią. Na zamku wszyscy uwierzyli téj wieści.

Goniec umyślny natychmiast niósł wieść nową, radośną, szczęśliwą dla ojca, Sądzono, że ten ojciec serdecznie się ucieszy. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali go w Brannie. Tylko Krystyna, co wierzyła już w swoje posłannictwo z niebios, była zmartwiona: „Ojciec wié już, co mi jest, ale niewierzy niczemu." Nareszcie 8 grudnia wrócił goniec wysłany do Morawii. Poniatowski nie przyjechał, napisał list tylko. Zerotin w jego miejsce przysłał Macieja Teodora Krokocińskiego, żeby zobaczył Krystynę, wywiedział się o wszystkiem i zdał mu szczegółowy rapport. Biedna córka zalała się łzami: „kiedy mnie własny ojciec opuszcza, czegoż mam się spodziewać od innych?" Kiedy piérwsza boleść przeszła, przeczytała list ojca i płakała jeszcze więcéj. Pytają się skąd to rozrzewnienie? Jasnowidząca odpowiedziała: „nie dla tego płaczę, że nieprzyjechał, ale że w liście swoim nie chce mnie uznać za prorokinię." A potém znowu: „Zmiłujcie się nademną i proście boga, żeby mi język rozwiązał do opowiadania godnie cudów jego. Ach, ileż boleści w sercu, że mi ojciec nakazuje milczenie. Ja zaś chociażby nie tylko ojciec, ale nawet świat cały rozkazywał mi. zamilknąć niemogę, bo potrzeba, żeby przezemnie po świecie się rozeszły cuda i dziwowiska Jehowy." Naturalnie, że cierpiała biedna, kiedy uważając się za posłanniczkę niebios, wyczytała w liście ojca takie n. p. wyrazy: „Proś Boga, żebyś do zdrowia wróciła i żeby cię uwolnił od téj okropnéj choroby, którą cierpisz. Ozdrowia-

wszy, strzeż się tych widzeń rozgłaszać przed światem. — jest to tylko poród rozbujałéj, dziwnéj fantazji. Dosyć będziesz miała tych widzeń w katechizmie, rozumiéj tylko artykuły wiary i żyj według rozporządzeń boskich. Nie chcę, żebyś była prorokinią, bo nowych proroków nierozumiem i mam ich za nic. Jeżeli Bóg ci zdrowie powróci, donieś mi zaraz o tém, że twój rozum opętania nie cierpi." — Ale Krystyna jak każdy człowiek, co sobie cóś wielkiego uroił, nie zważała na rady ojca. Sądziła, że jéj ojciec i świat nie poznał. Zdecydowała się na prześladowanie i męki za życia, pewna, że po śmierci pomniki jéj wystawią. I dla tego w jednem z następnych widzeń mówiła: „Żądam, żeby z moich wizij żadne słówko niebyło wypuszczone, albo zmienione, — chociażby się nawet cóś niezrozumiałém wydawało. Bo wszystko, com tylko słyszała, com widziała, bez żadnéj zmiany zapisałam na papiérze." —

List córki i upór i nowe wieści z Brany przestraszyły Juliana Poniatowskiego. Zerotin już go nie wstrzymywał. Ojciec tedy stroskany na skrzydłach leciał do córki. Rzecz dziwna, że o téj podróży wiedziała Krystyna. Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. „Będę zdrowa, mówiła, mam nadzieję, przez święta, i ojciec mój tu na święta przyjedzie." 26 grudnia dodała: „dziś ojciec przybędzie a jutro zobaczy rękę Boga nademną, bo mieć będę widzenie." Istotnie przyjechał Poniatowski tegoż dnia, ale zły, rozgniewany. Wymawiał wszystkim na dworze, że przez dziwny fanatyzm, bałamucą mu córkę. Nie spodziewał się wcale że sam ulegnie niezadługo i wolę Boga uzna nad córką. Nazajutrz po jego przybyciu i następnych dni, Krystyna wciąż wpadała w swój sen fanatyczny. Były to piérwsze wizje bez boleści — piérwsze jawne, z których się było można domyśleć, co przez czas extazji zajmowało obłąkany umysł dziewicy. Odtąd tylko po widzeniu opowiadała, co się jéj marzyło. Słuchali wszyscy teraz, a ona mówiła z przestankami: „Czyście widzieli? czyście widzieli?

słyszeliście? słyszeliście? — O, wieniec, wieniec żywota!" Przestała chwilkę i znowu niby odpowiadając: „Co, suknię? ponieważ tak Ci się podobało. — Dla czegoż iść nié mam? dla czegoż iść nié mam? dla czegoż iść nié mam? — Roskosz, roskosz, niewypowiedziana, niepojęta roskosz. — Nie jestem z wami. — Baranku Boży! niestworzona mądrości! Tyś mnie wychował Tyś wybrał, Tyś mi był dobroczyńcą. Cóż więc? Jestem twoją nagrodą? Tyś mnie odkupił? Jesteś-więc bratem moim? Ducha za mnie oddałeś? Odziejesz-że mnie? Dasz-że mi suknie? — Nie mogę patrzéć na jasność błyskawicy Twojéj, o chwało anielska? Jutro znów przyjdziesz? Jutro do ciebie pójdę, bądź gotowa — przyjdziemy razem do Ciebie." Przestaje nagle mówić i śpiewa psalmy. I wizja się kończy. — W dwa dni potém przepowiada znowu w urywanych perjodach tryumf swojéj Religii, upadek przeciwników. Wpada w zapał — najwymowniejszemi wykrzyknikami, pełnemi boleści i żalu wyklina prześladowców swojego kościoła, przepowiada im nieszczęścia, śmierć i klęski. Drzwi pozamykano, — drżą wszyscy z bojaźni, bo te przekleństwa dotykają potężnego Książęcia Frydlandu, wielkiego Waldsteina i drugiego książęcia Gubernatora Cesarskiego Czech całych, który jest panem z panów i nazywa się Lichtenstein. Czasami urywa Krystyna swoje proroctwa i głosem niewypowiedzianego żalu, czułości, tęsknoty odzywa się: „wszyscy mi wierzą, tylko mi mój ojciec nie wierzy. Ojcze mój, ojcze mój! dla czegożeś serce swoje tak bardzo zatwardził dla córki?" A biedny Juljan Poniatowski rozkołysał się w płaczu, Serce zabiło mu wyrzutem. Tamuje łzy na osobności, ale już wierzy w córkę, wierzy myślą i duszą. Stąd te dni kilka które zabawił w Brannie, były dla niego dniami niewypowiedzianego szczęścia, radości. Krystyna na nowy Rok była zdrowszą, bardzo zdrowszą. Jadła z apetytem, spała spokojnie, sen extazyjny odleciał na dni kilka. Ciągle w uściskach ojca i ojciec ciągle w uściskach córki. Kiedy zbliżył się czas odjazdu do Morawii, nastąpiło pełne rozrzewnienia

pożegnanie się z Baronową i z Krystyną. Było to 6. stycznia 1626. Odjeżdżający ojciec zgromadził na sali zamkowéj panią zamku, Zarębinę, córkę swoję, pastorów i panny służące aly frauncymer i Dwór Baronowéj, Ochmistrzynię Dworu i Doktora, — wyznał przed niemi wszystkiemi naprzód błąd, że niewierzył temu, co istotnie pochodziło z niebios i wreszcie obrócił mowę do córki: „Kiedy Bóg cię powołał córko moja, i zrobił cię narzędziem świętéj woli swojéj, bądź-że mu nietylko powolną, ale i wierną we wszystkiém a do tego co Ci powierzy, nic nie dodawaj, nic nie odejmuj, niczego nie zmieniaj!" — Odpowiedziała prorokini: „oto się nie troszcz, ojcze kochany. Ja kiedy pióro biorę, sama niewiem, jakim sposobem leją się na papiér wyrazy, — nic dodać, niczego odjąć, niczego zmienić nie potrafię." Zaklinał potém Poniatowski żeby największy sekret zachować o wszystkiém, boby się coś mogło donieść do domu Wallensteina — a wtenczas nastąpią nowe męki i prześladowania. Przysięgli wszyscy na sekret, a ojciec prorokini jeszcze raz podziękował Bogu za Jego łaskę nad córką, złożył w jéj ręce swój rękopism i zdanie o jéj przepowiedniach i wizjach; wracał do Morawii szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, bo był teraz ojcem prorokini, ojcem kobiéty, na któréj spoczął wzrok Przedwiecznego, żeby ją wznieść nad poziom, unieśmiertelnić! To pożegnanie, w czystéj wierze, ma w sobie cóś patryarchalnego. To czysta poezja, urocza, jak czasy przedchrześcijanskie, patryarchalne, kiedy ludzie jeszcze z Bogiem obcowali.

Teraz Krystyna najcięższe złamała przeszkody. Ojciec własny w nią uwierzył. Apostołowie jéj wiary, jéj proroctw, zjawiali się teraz massami. Bracia Czescy, jak na Bóstwo, zwrócili na nią oczy trwogi, nadziei, niespokojności, szczęścia.

Wyliczać-że wam teraz te wszystkie późniejsze widzenia i proroctwa Krystyny? Te widzenia, które zwiastowały nową erę a były tylko marą wyobraźni? Te proroctwa które się nie spełniły? Te nadzieje, które oszukały? Przekleństwa, któ-

re nie szkodziły przeklinanemu? Na co i poco? Same to były skargi, same żale. Widziała ona smoki, lwy, skorpiony, niedźwiedzie, — gryzły się, targały. Były tam w jéj widzeniach i konie dwójgłowe i osły trójgłowe i drzewa jakieś i domy wysokie, które lwy szarpały. Była tam cała menażerja z objawień znanych. Czytajcie o tém wszystkiém jeżeli zechcecie sporą księgę Czecha wysłańca Pastora, który zamiast Stadiusa przyjechał do Branny. Odwiedzał ją tu często z p. Sadowskim, z Trzemeszna. Tam każdy wyraz Krystyny zanotowany dla pamięci, każdy jéj ruch schwycony, zapisany. I nie dziw: ten kto pisał był fanatyk i myślał, że pisze o prorokini. W takim razie, byłby grzech uronić jedno jéj słowo, zbrodnią opuścić co przez niedozór, i brak uwagi. Czytajcie jeżeli zechcecie, — opisując to wszystko możebym was i siebie tylko znudził. A ja tego nie chcę! Powiem tylko to, co się życia Krystyny dotyczy.

Po odjeździe ojca widzenia jéj były bardzo częste. Raz (21 st.) zdawało jéj się, że Anioł w imieniu Boga kazał jéj napisać list do Wallensteina prześladowcy i zanieść mu osobiscie do rezydencyi książęcia w Giczynie (Gitschinia). Wygotowała tedy listy, złożyła, opieczętowała. Ale trzeba towarzyszów podróży. Zaproszone Baronowa Sternberg z okolicy, Sadowska z Polski i Doktor Libavius. Sternbergowa bała się i grzecznie się wymówiła, ale przysłała powóz i konie. Zlękła się i Pani Sadowska, bo poselstwo było zbyt niebezpieczne, ale z Trzemeszna zjechała jednak do Brany, po wielkiéj walce i naradach. Urządziwszy całą podróż w największéj tajemnicy wyjechali we trojgu: Krystyna, Sadowska i Doktor. W drodze (28 stycz.) raz tylko widziała aniołów Prorokini, — zresztą podróż była spokojną. Przybyli wreszcie do Giczyny. Wallensteina nie było w domu, — tylko co wyjechał do Wiednia. Sama Księżna była na zamku. Krystyna zasłabła i została w domu wyprawiwszy Sadowskę do Księżny z listem. Drżała jak listek, biedna posłannica kiedy stanęła przed panią i

żoną potężnego człowieka, co sam tylko silnemi ramionami dzwigał katolickie Cesarstwo i dom Rakuski. Przekłada jéj po-krótce cel swojego przybycia, że młoda panna bardzo chora napisała list do księcia i prosiła jéj żeby oddała ten list na zamku w ręce księżny, przysięgała na wszystko co święte, że nic nie wiedziała o treści pisma. Dowód właśnie że wiedziała o wszystkiém. Księżna Frydlandzka każe się stawić nazajutrz rano o 8 na zamku autorce listu. Były to czasy dziwactw. Nikt w świecie drugiemu nie ufał. W każdéj przysłudze znajdowano interess, — w każdéj prośbie widziano podstęp. I księżna się zlękła, sama niewiedziała czy przyjąć list czy nie — odesłała tedy Sadowskę, a na poradę wezwała Jezuitów. Ojcowie także wpadli na myśl, że list może być zatruty przez hussytów, że to zamach na życie obrońcy katolicyzmu. Radzili więc swojéj pani przyjąć list ale nie w ręce, a kazać oddawczyni, żeby go położyła na stole. Tak nietknięty miał leżeć cały czas aż do powrotu księcia ze stolicy. Wieść tymczasem o przybyciu jakiejś pięknéj i choréj dziewicy, o tajemniczym ciekawym liście, z ust przebiegła do ust i całe miasteczko zaintrygowała. Nazajutrz, — było to w sobotę, wszyscy mieszkańce wysypali się na ulice, żeby zobaczyć interessowną nieznajomą i jéj pochód do zamku. Ciekawi wcisnęli się i na zamek. Nastąpiły ceremonie przyjęcia, po których Krystyna pismo swoje złożyła na wskazanym sobie stole. Księżna Frydlandzka ujęta była jakąś litością, — tak cierpienie widać było w pięknych rysach wygnanéj Polki. Wypytuje się jéj o słabość, radzi sama babskie lekarstwa, — kiedy ni stąd ni zowąd Krystyna wpadła w extazją i cudnych nagadała rzeczy osobom, którzy się tego najmniéj właśnie spodziewali. Jeżeli się każdy dziwił, słuchając cudów, kto znał Krystynę, jakże się nie mieli dziwić ludzie, którzy ją piérwszy raz w życiu zobaczyli? To też zdziwienie ich przechodziło granice. Stali jak w ziemię wkopani. Na panią Sadowskę śmiertelne poty wystąpiły. Bała się wydania tajemnicy. Tylko jedna

księżna z dobrocią zaprosiła nieznajome sobie dwie kobiety na obiad, a księża Jezuici przemyślali jakby zajrzeć do listu. Bo extazja Krystyny, jéj dziwne, niepojęte słowa, obudziły sumienie Ojców. — teraz już jawnie mogli schwycić jakąś nić tajemną podstępu. Rozłamali tedy pieczęcie, zajrzeli do listu i jednym głosem krzyknęli: „to antychryst, to djabły!“ Wpadli do księżny: „Księżna ich musisz aresztować na zamku, to jakieś prorokinie, plemie szatańskie, grożą nam, książęciu religii naszéj, przepowiadają jakiś tam tryumf dla jakiejś tam wiarki.“ Ale księżna nie dała się na ten krok stanowczy namówić, — może czuła litość w sercu, może jakie inne jéj były widoki. Tymczasem nie było chwili do stracenia. Na wieść piérwszą odkrytéj tajemnicy, dwie podróżne szybko oddaliły się z zamku i rzuciły miasteczko. Ślad ich zginął dla Jezuitów. Ale w téj ucieczce zdaje się znowu Krystynie. że widzi anioły zstępujące z niebios i obstąpiły majestat Boga i Bóg rzekł do niéj: „Niechcę, żebyś dłużéj pozostała na téj ziemi, przeniesiesz się do Leszna, do Polski.“ Krystyna zapytała: „jakże to potrafię?“ A Pan jéj odpowiedział: „Sadowski cię przeprowadzi.“ Znowu Krystyna: „A jeżeli nie zechce? — „Niebój się, każę mu a zrobi to. I tam ci także przygotuję przyjaciol i nieopuszczę cię.“ — Posłuszna wyrokowi z niebios, Krystyna z panią Sadowską rano nazajutrz pojechały do Trzemeszna. Pan na Trzemesznie i Słupcy Sadowski (Baron?) zapalony hussyta, przyjął prorokinię z szacunkiem i oddał się jéj na usługi. Wróciła tedy Krystyna do Brany, pożegnać się z opiekunką lat niewinnych i rozporządzić wszystko. Nareszcie wyjechała znów do Polski — tu 3 lut. w jakiemś miasteczku pogranicznêm (Schatzliria.) spotkał ją z tryumfem Sadowski i ludu czeskiego tłumy, który już zaczął przechodzić do Polski, — z tryumfem poprowadził ją do Leszna, dokąd 8 lut. odbyła jakby wjazd uroczysty, Witana jak prorokini, jak święta, — a tu ją znowu uroczyście witali starcy Pastorowie: Jan Cyrillus, Jan Decanus, Jerzy Voitus i uczony Jan Amos Komeń-

ski. Cała ta podróż Krystyny do Polski bardzo przypomina ucieczkę Proroka z Mekki do Medyny. I istotnie, — Krystyna Poniatowska była jakąś patryarchalną istotą całéj rodziny wygnańców czeskich, bo jak przed nią małe tylko ich oddziały przechodziły do Polski, tak po jéj ucieczce już całe tłumy, całe pokolenia spieszyły za granicę, przez Szląsk i Morawy do Wschowy, Leszna, Trzemeszna, Poznania. Lecieli za nią, jakby unosiła ich nadzieje. Kochali ją jak osobę wyższą, świętą, natchnioną, wierzyli w nią jak w Bóstwo. Ucieczka Krystyny do Polski podniosła ją niezmiernie w opinii braci czeskich, — i jéj sławę piorunem rozniosła po okolicach ziemi i katolickich i niekatolickich. Wiedzieli wszyscy że prześladowana, a więc cierpi za prawdę.

Niedługo po tym wypadku, ojciec prorokini Julian Poniatowski umarł w Namesti 16 lut. 1628. Jego przeznaczeniem niebyło, widzieć córki nad grobem. Płakała Krystyna, — ale na ziemi ojczystéj, sama jedna nie zaprzestała proroctw. Otoczyli ją bracia czescy, jéj spółwiercy, dobrowolni wygnańcy z ojczyzny, co dotąd tylko wieściami o swojéj, cieszyli serce swoje. Otoczyła ją szlachta polska przywiązana do nowych wyobrażeń. Okolona gronem jakby sług wiernych, — ona była sercem tego ogromnego ciała. Wszystko się jéj radziło, wszystko uciekało się pod jéj opiekę. Sądzono, że Krystyna może dokonywać cudów. I ładnie Jéj było pięknéj, obłąkanéj, ale natchnionéj polskiéj dziewicy, w gronie siwych poważnych mędrców — Pastorów, w gronie magnatów polskich, matron w robronach, w pośród tłumów spółwierców, co na nią patrzał, jak dziecko na matkę, co w nią wierzył, jak lud Boży w swojego zbawcę który ma przyjść jeszcze!

I wierzyli wszystkiemu jéj spółwiercy, — czystym dziwactwom nawet. Tak raz 12 kw. siedziała Krystyna po obiedzie we wtorek pod cieniem drzew palmowych. Grono poważnych ludzi ją otaczało tego dnia, jak i zawsze. Przynieśli jéj wieść z Czech, o Wallenstejnie, o bojach, o tem, że król Szwedzki

może się wda w wojny niemieckie i półki zwycięzkie na Wiedeń poprowadzi, o intrygach Richelieu i t. d. Krystyna słuchała w milczeniu, a nagle powstała i zapytała się: „Kto chce iść za mną? Poszedł Jonston i Augustyn Stephani medyk, który tylko co z Czech przybył. Ledwie przyszli na pole zaczęło się widzenie Krystyny. Siadła na ziemi i przyjmowała aniołów, którzy jéj oddali listy z północy, wschodu, zachodu i południa; pieczęcie na tych listach były wielkie, rozłamała je z gniewem, przeczytała, — ale treść musiała jéj być przykrą, bo je rzuciła na ziemię i podeptała nogami. Wreszcie Bóg się pojawił, — Krystyna odprawiła Aniołów i szła z Panem 14 stadjów za miasto aż do lasu Nowomiejskiego (usque ad Neovillanam silvam) — tu siadła pod lasem, uplotła wieniec, włożyła Panu na głowę — potem wstała, — pożegnała się z Nim i wróciła do miasta. Patrzali na nią jéj towarzysze sami nie wiedząc co się to wszystko znaczy. Potém im dopiéro Krystyna objawiła rzecz całą. I oni jéj uwierzyli! że rozmawiała z Bogiem! że odbierała listy od Aniołów!

Kiedy wrócili do miasta z téj przechadzki, spotkali na 24ch wozach wygnańców Bolesławskich z Czech; między niemi był i Paweł Poniatowski brat Krystyny, sierota po śmierci ojca, który pośpieszył na ziemię ojczystą, bo go chciała widzieć, uściskać siostra, — wielka prorokini i święta. We cztéry dni po nich, 18 kwietnia, przyjechał do Leszna i Rafał Leszczyński. Wojewoda Bełzki, z panią Wojewodziną Radzimińską z domu, wielki bogacz i dziedzic Leszna, na czele świetnego i bardzo świetnego orszaku z Rusi. Wszystko na nim błyszczało od złota i srebra. Wszystko świeciło zbytkiem i dumą. Pan Wojewoda już od lat dwunastu porzucił Wielką Polskę i Leszno swoje, przeniósł się na Ruś, tam szukał związków i i przyjaźni. Chciał braci swoich po śmierci ojca wychować po Kalwińsku, ale macocha jego, z domu Opalińska, niepozwalała na to. Wojewoda poszedł do sądu i przegrał. Na Rusi chciał zapomnieć żalu — i zapomniał go w stosunkach z ksią-

żętami Ostrogskiemi, Czartoryskiemi, Sanguszkami, Koreckiemi. Ale listy wzywały go do W. Polski. Bracia czescy osiadali na gruntach możnego Pana — pod jego tarczą mogli żyć długo bezpiecznie. Pan Wojewoda chętnie przyjmował ich, aleć musiał im los zapewnić, — bo w tém niedosyć się było spuścić na kommisarzy swoich· I oto właśnie przyczyna, — dla czego Pan Wojewoda Bełzki po 12tu latach dobrowolnego wygnania, w świetnym orszaku, służby i dworzan, w orszaku, którego mógł mu nie jeden król pozazdrościć. wracał do Leszna, do ojczystych, swojéj rodziny od kilku wieków, posiadłości. Na przyjazd pana wysypało się miasto całe za mury, witało go okrzykami pieśni, łukami tryumfalnemi. Wojewoda bardzo był czynny, — rozporządził wszystko, wydał rozkazy. Zajął się zaraz i Krystyną Poniatowską. Ta dziewica zainteresowała go bardzo. Mówił, że to jego jakaś krewna ze strony babki, która także była Pawłowska z domu. Dla tego wyznaczył kommisją, którąby rozpoznała. czy te proroctwa Krystyny nie pochodziły czasem ze zbytniej drażliwości jéj nerwów. Leszczyński jak się pokazuje niezupełnie dowierzał temu, co ludzie o prorokini mówili. Kommisja ta składała się z samych lekarzy. Zasiadał w niéj Marek Eugieniusz Bonacinna Włoch i lekarz nadworny Wojewody, — przywołano ze Wschowy Macieja Borbonjusza Czecha, Doktora trzech cesarzów Rzymskich, a na starość za wiarę wygnańca — Trzeci był także Doktor (Archiatr), nadworny lekarz króla Zygmunta III. Sztęzel. Do nich przydany Jan Jerzy Schlichting Sędzia Wschowski i Administrator hrabstwa Leszczyńskiego. Sprawozdawcami byli w kommissji Libavijusz medyk, Komeniusz i Stadjusz Teologowie i Jan Jonston kandydat Medycyny, — ludzie, którzy znali doskonale pannę Poniatowską.

Kommissija 24 kwiet. rozpoczęła pracę i po wielu naradach wyrzekła przez usta 3ch lekarzy, którzy ją składali, że wszystkie proroctwa Krystyny przypisać należy żółci i zamknięciu się jakimś sposobem czyszczeń miesięcznych, że narodzona

z ojca wygnańca, wychowana pomiędzy teologami, zapewne nieraz czytywała Apokalipsis, albo coś o tém słyszała, że stąd mogło się coś zawieruszyć w głowie niewinnéj dziewicy i albo całkiem zmyślała że coś widzi, albo udawała, że więcéj widzi, jak jéj się zdawało. Do tego przyłączyli kilka przykładów wyjętych z kronik podobnych Krystynie prorokiń. Tak uczeni mędrcy i naturaliści, widząc rzeczy jak były w istocie, obrywali liść za liściem z wieńca Krystyny i z prorokini robili ją kobietą pomięszanych zmysłów.

Napróżno obrońcy Poniatowskiéj przytaczali, że ona ma upławy regularne i że się wychowała nie między teologami, lecz w gronie kobiet. Jak gdyby kobiety nie umiały rozprawiać o teologii i być fanatyczkami! A przecież w Brannie pierwsza Baronowa Zarębina, nazwała wychowanicę swoję, prorokinią natchnioną z nieba.

Ale to było jakby przeznaczeniem tej dziwnéj kobiety, że najniewierniejszy w nią uwierzył. Ktoby się spodział — sam mędrzec Bonacinna zachwiał się w swojem mniemaniu o Krystynie. 3 maja, prorokini prosiła do siebie Komeniusza. Chciała go widzieć, rozmawiać z nim. To był powiernik jéj serca, uczuć, przyjaciel szczery, z poświęceniem się. Krystyna była słabą, bardzo słabą. Z pastorem poszedł Bonacinna i wielu innych. O 6téj przypadł wielki paroxyzm epileptyczny, — po trzech kwadransach powtórny silniejszy jeszcze, — potém trzeci, a największy o 9téj. Nadeszła i sama Pani Leszczyńska z Frauncymerem swoim i damami dworu. Po okropnych boleściach, które widzieli wszyscy i litowali się nad biedną cierpiącą, Krystyna wpadła w extazją, która trwała pół godziny. Nic nie mówiła słowem, tylko giestami niezrozumiałemi. Usiadła, kogoś ręką obejmowała, całowała kogoś, słuchała jakby mowy czyjéjś. Potem jakaś radość nadzwyczajna rozjaśniała w jéj oczach, drżącą ręką dotyka się skroni swoich, serca, pulsu, dziękuje komuś, wita znów kogoś, modli się składa ręce, klęka na łóżku, nareszcie podaje rękę i żegna

goscia. Kiedy ten gość odszedł, przyszła do siebie i prosi męszczyzn żeby wyszli. Wtedy kazała sobie podać suknie, ubrała się i znów zdrowa, jakby nic nie było, jakby niecierpiała i chwili. Dziwią się ciekawi i pytają, co widziała? — „Starzec jakiś stanął przy mnie i rzekł mi: oto powracam do ciebie i zdrowie twoje zemną. Dobrześ zrobiła, żeś zniosła cierpliwie ukaranie moje, — a teraz powstań i bądź zdrowa.“ Bonacinna, naoczny swiadek, przekonał się, że to nie było udanie, — we wszystkiém, co się tyczyło Krystyny, nie można było nie widzieć jakiejś nadzwyczajności. — Krystyna mogła być oplątaną dziwactwem jakiemś, fanatyzmem, chimerą, ale to nie było udanie, — to było wszystko w dobréj wierze. I mędrzec wzruszył ramionami, kiwnął głową i rzekł: „to nadnaturalne! to nadnaturalne! Tutaj i medycyna nic nie pomoże!“ — I on się zachwiał, uczony medyk i on na pół uwierzył!

Ale zapowiedzenie sennego starca w istocie spełnić się miało: — nadchodził czas, kiedy miały raz się zakończyć przywidzenia Krystyny. Właśnie wtenczas Senior duchowny kościołów Braci czeskich w W.Polsce, 60 letni Marcin Gracjan, parafją swoję w Ostrorogu polecił staraniom Pawła Paliura. Sam spracowany, chciał w spokojności zakończyć życie. Do Leszna przywołały go miłe wspomnienia, kiedy był jeszcze prostym Ministrem. Tam się więc udał, bo chciał poznać osobiście prorokinię swojego kościoła. Mały domek zbudował sobie w ogrodzie parafialnym, wydzielił pokoik koledze swemu niegdyś seniorowi Konsystorza Pragskiego, Janowi Cyrillowi i razem we dwojgu, starcy, nieśli brzemię życia które im jeszcze nieść pozostało. Odwiedzali często Krystynę i byli dla niéj z religijném poszanowaniem. Uwierzyli w nią, jak uwierzyli wszyscy. A Krystyna miała tę pociechę, że koło niéj gruppowało się wszystko, co tylko było znakomitszego w jéj wyznaniu. Dziwny starzec we śnie przewidział koniec choroby. Ostatnie widzenie przez extazją było 29 paźdz. Odtąd dziewica

wpadała tylko w sen ciężki, nierozbudzony. We śnie trwożyły ją mary okropne. Widziała straszliwą mękę Wallensteina, jak ledwie oddychał, przywalony ciężarem, a z ust mu płomień wybuchał, a krew płynęła mu z serca. Widziała tryumf przyszły Fryderyka V. Elektora i króla Czeskiego. Widziała zwycięzkiego Gustawa rozwijającego chorągwie za wolność Niemiec. Takim sposobem przepowiedziała koniec okropnéj burzy, co aż w posadach wstrząsnęła Europą i nazywała się wojną 30-letnią. Na jawie rozpowiadała sny swoje cudowne, — a każdy jéj wyraz zaraz przez ust tysiące przelatał i nadzieja do tysiąca serc kołatała. Powiedziała, że pokój ustalą ciężkie boje i świat odetchnie radością, a Reforma prawa i nietykalność pozyska.

Kiedy już te wszystkie przepowiednie były wyczerpane, jak gdyby skończyło się posłannictwo Krystyny, raz jéj Anioł powiedział we śnie: „przygotuj się! apoplexja zakończy twoje cierpienia.“

Istotnie niedługo potém 27 stycznia 1629 koło łoża cierpiącéj prorokini zebrało się mnóstwo Ministrów, ciekawych i wierzących. Słychać było czasami płacz tłumiony. Boleść rozlewała się po rysach na twarzy każdego z obecnych. Milczenie grobowe panowało w komnacie. Tu, na łożu cierpienia, w mękach, w konwulsjach okropnych dogorywała Krystyna Poniatowska. I nagle ustały boleści, oczy przewróciły się w koło, puls zadygotał śmiertelnie i skonał, twarz była blada, lecz blada trupio, aż raziło, była bez życia, policzki wpadły, — to Anioł śmierci przeleciał po komnacie. I wreszcie z piersi ustąpił ostatni, słaby oddech i zamknęły się oczy, ręce bezwładne opadły, — Krystyna skonała. W nieméj boleści uklękli wszyscy przytomni i modlili się gorąco do Boga. Po twarzach wszystkich spłynęły łzy. Ale dwaj siwi starcy najwięcéj cierpieli — to byli Pastorowie Jan Cyrillus i Wacław Cornu, wygnańcy.

Było to jednakże złudzenie, — attak apoplektyczny trwał czas jakiś i ustał wreszcie, Krystyna się obudziła na pociechę spółwierców swoich, — ale to obudzenie się jéj było dziwne, niepojęte, cudowne. Krystyna przestała być jasnowidzącą i jéj cuda ustały. Nowa epoka, rozpoczęła się w jéj życiu.

Niedługo przecież nowa, ciężka strata dotknęła hussytów polskich. Marcin Gracjan umarł w Lesznie 7 marca 1629. Chcieli Pastorowie wyprawić wspaniały pogrzeb niegdyś Zwierzchnikowi swojemu w Wielkiej Polsce. Dzień na pogrzeb wyznaczono 19 marca. Na trzy dni wprzód zbiegli się ministrowie hussyccy z Polski, z Pruss, Pomorza, z Czech nawet. Rozporządzał wszystkiem Doktor Teologii, Pastor z Torunia Jan Turnowski. Było do 50ciu zebranych Ministrów, 16go marca w piątek zaczęły się obrzędy żałobne, — dużo śpiewów i światła. Kiedy się skończyły te obrzędy, Turnowski zebrał wszystkich obecnych Ministrów do zboru i wniosł, żeby zgromadzeni na pogrzeb Seniora otworzyli Synod i wydali rozporządzenia, któreby zapobiegły skandalom w pewnéj nadzwyczajnéj sprawie, dotyczącéj pewnéj osoby z grona wygnańców Czeskich. Całe to omówienie odnosiło się do Krystyny. Naturalnie jéj proroctwom niewierzyło wielu mniejszéj wiary ludzi, ale za to więcéj oświeconych, co rozumem, nie uprzedzeniem zgłębiali rzeczy. Katolicy jawnie się z niéj natrząsali. Pospolici tylko wierzą w rzeczy nadprzyrodzone, — człowiek uczucia i myśli o wszystkiém będzie miał sąd własny. Ale i gmin czasami przez uprzedzenie niewierzy baśniom. Tu mamy przykład: gmin wygnańców czeskich miał Krystynę za świętą, za prorokinię; katolicki natrząsał się z niéj.

Synod na prędce zebrany oddał pod ścisły examen wizje Poniatowskiéj. Długie były debata i narady. Mieli w nich udział sam Turnowski, Komeniusz, Stadius, Krokosiński. Miała widać przeciwników Krystyna, ale miała większych przyjaciół. Synod obudwom stronom nakazał zupełne milczenie, — silentium. Silentium takie wydaje zawsze wyrok na stronę

osoby. Nie jeden przykład w tym względzie przytoczyćby można z dziejów katolicyzmu. Silentium takie broni osobę,— jeżeli nie silentium, to klątwa. A klątwy Synod Leszniański nie rzucił na Krystynę!

Odtąd zupełnie ustały proroctwa i widzenia pięknéj prorokini. Wszystkie jéj pisma pochowano jak świętość, jak relikwie. Cześć i poszanowanie odbierała wszędzie. Zawsze koło niéj cisnęły się tłumy spółwierców. Ministrowie zawsze zasięgali jéj rady i patrzali na nią jak na swoje opiekuńcze Bóstwo. Na jéj żądania przyzwalali chętnie,— jéj prośby wypełniali natychmiast. Lud prosty żegnał się, kiedy ją widział, dotykał się jéj sukni, jakby relikwij jakich.

Krystyna ciągle mieszkała w Lesznie. Była zdrowa zupełnie. Nic jéj nie dolegało. W czerwcu wezwała do siebie opiekuna swojego, a późniéj biografa swojego Pastora, Czecha wysłańca do Polski, z którym się poznała niegdyś w Brannie. Wynurzyła mu chęci swoje odwiedzenia Baronowéj Zarębiny. Pastor chętnie zobowiązał się towarzyszyć jéj w drodze i istotnie 12 czerwca opuścili Leszno i przez Szląsk udali się prosto pomiędzy góry olbrzymie. Ściśle incognito było zachowane przez całą drogę. W Brannie z radością spotkała Baronowa podróżnych. Ale krótko się niemi nacieszyć mogła. Pan Baron był wtedy na zamku, — brutal, bez myśli i bez serca, był coraz przykrzejszym dla żony. Nie podobała mu się wizyta Krystyny. Napróżno prosiła go żona o litość nad sobą. Pan Baron z kielichem w ręku, w gronie rozpustników był nieczuły na rozpacz. Zamknął powóz i konie, — niepozwalał żonie nigdzie wyjechać, zrobił ją niewolnicą, zamknął w więzieniu. Nareszcie te niegrzeczności zaczęły spotykać i Krystynę. Pan Baron się wściekał, — groził. Rzuciła więc Poniatowska Brannę 26 czerwca i wróciła do Polski, — conductu angelico, — powiada towarzysz jéj podróży. Miałżeby on być tym aniołem?

I znowu w milczeniu spłynęło w Lesznie kilkanaście mie-

sięcy Krystynie. Samo zdrowie malowało się na jéj twarzy. Wdzięki jéj błyszczały życiem. Rumieniec rozlewał się, jakby amarantem malował ślicznie, wybladłe dotąd rysy dziewicy. W takim stanie mogła obudzić miłość. Miała lat 19 i była śliczną. Obudziła już miłość. Wielu z młodzieży pokochało się w niéj i starało się o jéj rękę. Krystyna wszystkich przyjmowała obojętnie. Przybył właśnie w tym czasie na wygnanie do Leszna Daniel Vetter, rodem Morawczyk i kandydat do Pastorstwa. Był to uczony człowiek. — Fryderyk obrany, król Czeski poruczył mu wychowanie syna swojego Henryka, — kazał mu uczyć następcę swojego po czesku. Vetter wziął się z zapałem do téj pracy — ale czasy się zmieniły i wierny panu swojemu, Vetter towarzyszył mu na wygnaniu, pocieszał go w nieszczęściu, ratował. Ale kiedy z nikąd żadna nie świeciła nadzieja, Fryderyk uwolnił niemego sługę od obowiązków i kazał mu wracać do ojczyzny. Ale ojczyzna była dla tego sługi zamknięta i Vetter prosto z Hollandji przywędrował do Leszna, wygnaniec w pośród wygnańców. Miał on wielkie zachowanie pomiędzy swojemi ziomkami. Oni zaprowadzili go do Krystyny i powoli Vetter owładnął całém sercem dziewicy, — był powiernikiem najtajniejszych jéj myśli.

Jego się radziła, co ma robić z sobą, bo ją znudziły już nadskakiwania i zaloty młodzieży. Ona pogrążona w dumaniach nie wiele miała czasu myśléć o ziemskiéj miłości. A jednak dla dziewicy samotnéj bez wsparcia, bez opieki, będą jedyną obroną święte śluby małżeńskie.

W październiku 1622 nadchodził Synod. Krystyna los swój zdecydowała się powierzyć w ręce tego Synodu. Zasiadało na nim sześciu Pastorów, między niemi Vetter i czterech innych Ministrów. Synod zajął się Krystyną, bo to była pupilla Ecclesiae. Codzień zastawiano spólne stoły po obradach, bo u Hussytów i prace i spoczynek zawsze dla wszystkich były razem. Przed ostatnią taką ucztą, w obec wszystkich odbył się uroczysty ślub Krystyny z Wawrzeńcem Ju-

stynem, tylko co poświęconym Ministrem. Zbór Leszniański i Bracia Czescy z radością obchodzili te gody weselne.

Odtąd zupełnie podanie zamilkło o Krystynie. W listopadzie 1632. wspomina jeszcze o jéj boleści, kiedy się dowiedziała o bohaterskiéj śmierci Gustawa Szweckiego pod Lützen. Zdaje się, — upadała sprawa Fryderyka, a jednak Krystyna nie traciła nadziei. Potém raz jeszcze na Synodzie w kwietniu 1633. w Ostrorogu odbytym, raz jeszcze wznowiono kwestję o przywidzeniach Krystyny. Ale Synod teraz jak i dawniéj nakazał najzupełniéjsze silentium w téj sprawie.

Lat dwanaście i dwa miesiące w największéj zgodzie żyła z mężem swoim Krystyna. Dobra, łagodna, uprzyjemniała jego życie, — na ziemi rajem mu była. Pożycie jéj z mężem służyło wszystkim za przykład. Późno, już bardzo późno, rozeszły się wieści że Krystyna w wieku dojrzalszym odwołała wszystkie swoje jasnowidzenia i proroctwa. Doniesiono o tém 1643. jéj biografowi, — a on aż z Pomorza do Leszna umyślnie przybiegł dowiedzieć się, czy to prawda? Zląkł się poczciwiec o świętość swojéj prorokini. — Krystyna zaparła się, — powiedziała, że to mówią o niéj złe języki i dziwiła się opiekunowi swojemu, jak może wierzyć takim dziwacznym szemraniom. Troje dzieci powiła mężowi swojemu. Nazwała synów imieniem ojców chrzestnych Vetterów — jednego Danielem, drugiego Jerzym. Córkę miała jednę trzech imion Joannę Zofię Dorotę. Sama zajmowała się wychowaniem dzieci w zasadach wiary swojéj i moralności. Cały czas, jaki żyła z mężem była zdrowa, spokojna i szczęśliwa. Dopiero w czerwcu 1644 zachorowała na katar, — do tego przyłączył się kaszel, — z pomięszania kataru i kaszlu wywiązała się choroba śmiertelna i 6 grudnia 1644 umarła na rękach męża i dzieci. Żyła tylko lat 34. Pochowali ją z pompą Bracia Czescy. Wacław Lochar Minister gminy Czesko-morawskiéj w Lesznie celebrował w smutnym obrzędzie i miał kazanie nad grobem prorokini, — a w aktach kościoła na pamiątkę zapisał szczegóły

dziwnego życia Krystyny. Kazanie to Lochar oddał do druku. Musi to być wielka rzadkość bibliograficzna kiedy *nigdzie* niewspominają o téj książce bibliografowie polscy.

Jakże to było dziwne życie téj kobiéty! Dziecko, mus uciekać z kraju przed prześladowaniem. Ale i zagranicą jéj niedobrze: — i tam szerzy się zawiść i uprzedzenie. I z Czech wygnanka, chowa się na zamku w Morawii i dziwi okolicę wieścią o przywidzeniach swoich. Z początku nie wszyscy jéj wierzą, — ojciec się na nią gniewa. Ale i ojciec uwierzył i każdy niedowiarek, jakby szałem opętany, jak tylko spojrzał na nią, uwierzył. Piękna i młoda, dziewica a już wieszczka, — już jak Patryarcha przemawia do ludu i na jéj skinienie zamilkły starce i dzieci. Jakiś dziwny urok w koło ją otaczał. Czy to hołd dla jéj wdzięków, o których powiadają cuda, czy to litość nad jéj cierpieniem? Bo ona wiele cierpiała Jéj serce miało się z czego na kawałki rozerwać!

W dziejach braci Czeskich w W. Polsce i nawet w dziejach Reformy, ona zajmuje ważne miejsce, przez wpływ swój czarowny i potęgę jaką wywierała w około. Istotnie była to kobiéta czarów i działała jakby czarami. Fanatyzm zrządził jéj wiele boleści. Do tego jeszcze miała żywą imaginację. Były to materjały palne i Krystyna zapalała swoje towarzystwo. Dla czegoż przecie o niéj nic dotąd niewiedziano? Dlaczegoż tylko głuche wieści chodziły w jéj ojczyźnie, o niéj, gałęzi być może domu, z którego Polska zyskała kilku sławnych ludzi i króla? Niewiem — niezgadnę.

Była jasnowidzącą, jakich teraz pełno w naszych czasach, — a spółcześni ogłosili ją za natchnioną, prorokinię i świętą! Co za myśl! Prorok w XVII albo XIX wieku! w czasach tak dziwnych, w czasach fanatyzmu ujemnego! Dajmy pokój prorokom. Cieszmy się jasnowidzącemi, bo oni bardzo w duchu naszego wieku.

30 *Lipca* 1841. *r.*

Julian Bartoszewicz.

Dopisek.

Wszystko co tylko wiedziano o Poniatowskiéj, zawarł X. Siarczyński w szacowném swojem dziele: Obraz wieku Zygmunta III. Jest tam o naszéj prorokini 10 do 15 wierszy, — niewięcéj. Ksiądz Siarczyński nie wiedział nawet, czy ma prawo wcielić dzieje Krystyny do swojego Obrazu, bo mógł sądzić, że Krystyna była Czeszką. Tymczasem rzecz się sama przez się teraz rozwiązuje. Zdarzyło nam się raz trafić na rzadką bardzo książkę pod tytułem: Historia Revelationum Christophori Kotter, Christinæ Poniatoviæ, Nicolai Drużbicii, et quæ circa alias varie acciderunt, usque ad earundem anno 1657. publicationem et post publicationem. In conspectu Dei et Evangeliæ porsita fideli testificatione ejus qui (Deo ita disponente) omnium istorum autoptes, collector, conservator, editorque fuit, An. 1659. in 4to str. 272.

I oto wyjątek, treść dzieła, co się Krystyny dotycze. Powieść o niéj zamknięta na 107 stronnicach, ciągnie się od 31 do 137. Samego dzieła nieznalezliśmy w żadnéj Bibliografii Polskiéj. Nawet Jocher w oddziale: Objawienia, wizje extatyczne i t. p. w tomie 3cim na str. 166 swojego obrazu, nie wspomniał o niem.

Że Juljan Poniatowski, ojciec Krystyny, brał żywy udział w sporach teologicznych, dowodzi dzieło zanotowane u Jochera (T. 2, — str. 302): Matthiae Hoe, Dissertatio anti-Poniatoviana: An beati Angeli et Coelites Deum in sua essentia, qualis est, perfecte cognoscant, opposita Juliano Poniatovio. Lipsiae 1620. in 4to. Dodaje Jocher: „czy ten Poniatovius był Polakiem? niepewna.“ — Teraz pewna jak słońce.

WYJĄTEK

Z ORYGINALNÉJ KOMEDYI POLSKIÉJ POD TYTUŁEM:

LICHWIARZ.

AKT 1.

SCENA III

WŁADYSŁAW, HRABIA (*elegant lew*).

HRABIA (*na boku*)

Jeśli adres właściwy, jak należy sądzić, (*patrzy na adres*),
To zapewne mój lichwiarz — nie mogłem zabłądzić;
Z takiemi ichmościami ceremonja próżna.

(*do Władysława*).

Czy na zastaw pieniędzy tutaj dostać można?
Czy tutaj Pan Lichwiarski?

WŁADYSŁAW.

Tak jest —

HRABIA.

Więc do rzeczy:
Lubo w kartach biegłości nikt mi nie zaprzeczy:
Jednakowoż szczególnie dziś mi los nie sprzyjał,
I nigdym się z instynktem tak jak dziś nie mijał.
Co powiesz? w towarzystwie najlepszem tu w mieście,
Przegrawszy jeszcze do dnia dukacików dwieście,

Nié mam już tak pod ręką gotowizny więcéj,
A odegrać się wieczór pragnę najgoręcéj.
Kocz mogę dać na zastaw — w tym przychodzę celu.
(uderza Władysława w ramie).
Ile na koczyk modny, dajesz przyjacielu?

WŁADYSŁAW.

Ja nie jestem Lichwiarskim — pan zostajesz w błędzie.

HRABIA.

Jak najmocniéj przepraszam! czy prędko przybędzie?

WŁADYSŁAW.

Co chwila spodziewany, sam go oczekuję.

HRABIA,

Tak — jeszcze raz przepraszam — ale nie pojmuję
Zkąd moja nieuwaga! Jakżem grubo zbłądził!
Nie gniewaj się Pan żem go Lichwiarskim bydź sądził.
Bo zresztą takich ludzi trudno poznać przecie.
Tak ich się namnożyło na tym biédnym świecie
Tak dobrze posiadają udawania sztukę
Że ich znanie stanowi oddzielną naukę.

WŁADYSŁAW·

Prawda że się przed naszym umieją skryć wzrokiem
Jeżeli obojętném patrzym tylko okiem
Gdyż przyrodzenie dla nich zbyt łaskawem było
Żadném szczególném piętnem ich nieodróżniło.
Lecz kiedy cię potrzeba zbliży do Lichwiarza,
Poznasz go — jego obraz ohydą przeraża.
Trudno go zwać człowiekiem choć ma ludzką postać
Chytrości tego lisa nic nie może sprostać.
Umysł jego zdziczały, serce ma z kamienia.
Litość jemu nieznana — obcy głos sumienia.

Widzi cię, wnet jaszczurczy wzrok swój w ciebie wlepi.
Postrzega piętno smutku, nadzieją się krzepi,
Że cię potrzeba w jego przyprowadza progi.
Że mu w zastaw przynosisz jaki przedmiot drogi
Który ci los oszczędził. — Wnet go wydrzeć pragnie —
Cierpienie go nie wzruszy — rozpacz go nie nagnie —
Ujrzy fant przyniesiony, — chwyta go w swe dłonie,
Mógłbyś mniemać że chciwym wzrokiem go pochłonie.
Drży mu ręka — i usta zwykły kolor tracą.
Niecierpliwy, nasycić chce się cudzą pracą.
W oczach jego przygasłych ogień zajaśnieje
Gdy jest pewnym że ujrzy spełnione nadzieje.
Że doznając przykrego od losu ucisku
Dasz mu fant, dasz sposobność do ściągnienia zysku.
Skoroś wykup zastawu o chwilę przedłużył
On zaraz to spóźnienie na swą korzyść użył.
Odbierając twój zastaw, nowy procent płacisz,
Lub w razie niemożności na zawsze go stracisz,
Choć w połowie wartości przyjął go od ciebie,
Jak pijawka krew ludzką, tak on wciąga w siebie
Nierozważnéj młodzieży całe przyszłe mienie. —
Psuje jéj obyczaje, zagłusza sumienie;
Bo pożycza na schedy stryja, ojca, matki,
Chociaż ci żyją jeszcze — tak dni ich ostatki
Zatruwa niegodziwiec! — ostrzeżenie kładzie
Na całym ich majątku. —

HRABIA.

Na jakiéj zasadzie?
Wszak to przecie nie prawnie?

WŁADYSŁAW.

Co go to obchodzi,
Czy prawnie, czy nie prawnie — jemu nie zaszkodzi!

Dla pokrycia zgorszenia, ocalenia sławy,
Rodzice wypłacają. — Przez takie to sprawy.
Przychodzi do pieniędzy kosztem rodzin wielu.
Choć podłemi drogami rzadko chybia celu.
Chytry człowiek! słów grzecznych najskrzętniéj dobiéra!
Zdaje się łaskę świadczyć gdy okrutnie zdziera.
Czemuż taką istotą Bóg społeczność darzy?
Dla czego w swoim gniewie zsyła nam lichwiarzy!...

HRABIA.

To prawda że tym ludziom duży procent płacim,
Lecz za to w interesach mało czasu tracim.
Daj tylko lichwiarzowi sprzęt nieużyteczny,
Lub klejnot — gdy on pozna że swego bezpieczny,
Nie wzywa Notarjuszów — formalności próżnych
I wesprze swoim groszem choć po uszy dłużnych.
Ja lubię taki sposób. — Bo to Hypoteka,
Ci prawnicy, tak długo wynudzą człowieka,
Że często drugie tyle im się wprzód wyliczy,
Nim się z groszem zobaczy, nim się coś pożyczy.
Z notarjuszem jak przykre, jak długie mozoły!
Dwóch świadków wiedzieć musi to, że jestem goły!
Lichwiarz za duży procent da to w zysku przecie,
Że czasowe *deficit* zostanie w sekrecie.
Gdy mi konie zabrali faraona słudzy,
Będę chodził piechotą tak jak chodzą drudzy,
A koczyk dam na zastaw. Skoro los się zmieni,
Gdy przegrane pieniądze wrócą do kieszeni,
Odzyskam konie, koczyk strzeżony starownie;
A tymczasem nie będę płacił za wozownie. —
W czynnościach z lichwiarzami już nie jestem trwożnym
Nauczyłem się bowiem jak to być ostrożnym.
Będąc jeszcze nieletnim — gdym chodził do szkoły,
Nieraz, by jednostajne osłodzić mozoły

Które rodzi uczenie — gdy koledzy w klassie,
Ja w domu pozostałem — i w tym samym czasie
Gdy oni nad liczbami mózg suszyli w szkole;
Ja także rachowałem wychodzące króle.
Progressje można poznać w kartach, przy stoliku.
Ja tego doświadczyłem w przykładach bez liku.
Gnę parol lub syz-lewę; przez czyn ten praktyczny,
Pojąłem co jest postęp.... tak... arytmetyczny.
Takie branie nauki dużo kosztowało,
Przeto mi na sposobach często brakowało;
W razie tyle krytycznym idę do lichwiarza,
On mi z razu odmawia — lecz to mnie nie zraża.
Wiedziałem że u niego *nié mam* pierwsze słowo.
Choć stokrotnie odmówi, nalegam na nowo.
On po długiém wahaniu warunki podaje,
Ja znajduję za trudne, nie zaraz przystaję
Targuję się — on woła „młodyś, nie bądź sknero,
„Do tego co pożyczę dodam jedno zero,
„Jeszcze jesteś nieletnim — ja dużo narażam.
„Rodzice pożyć mogą, ja na wszystko zważam,
„Zero, to bagatela (on mi tak tłomaczy).
Pomyślałem: tak, prawda, zero mało znaczy
Lecz gdy się z trzech tysięcy trzydzieści zrobiło,
Zadrżałem! — ostrożności to mnie nauczyło.
Szczęściem stary wujaszek przeszedł do wieczności,
Ta scheda mnie wyrwała z djabelnych przykrości.
Pamiętam raz dostałem od takiego pana,
Stary kocz, dwa zegarki — połowę dywana.
Scyzoryk — trzy obrusy i inne rupiecie,
Jakich znajdziesz nie mało na każdéj tandecie.
To wszystko za gotówkę. — Angielską gitarę,
Pozytywkę — pułapkę i dwa sztychy stare.
Nie mogąc tego zabrać, w miejscu to sprzedałem. —
Prawda że i połowy za to nie dostałem,

Lecz wziętemi pieniędzmi grałem tak szczęśliwie,
Że kiedy sobie wspomnę — dziś jeszcze się dziwię!
Com stracił na pożyczce, Faraon mi zwrócił.
Szkoda, że tamten lichwiarz zawcześnie świat rzucił!
Choć wszyscy na lichwiarzy strasznie piorunujem,
Kłaniamy im się nisko gdy ich potrzebujem.

SCENA IV.

CIŻ LICHWIARSKI.

Lichwiarski z uniżonością się kłania i podaje krzesło — Władysław siada — hrabia opiera się o poręcz. —

LICHWIARSKI.

Panowie tutaj dawno?

WŁADYSŁAW.

Tak, już dawno dosyć.

LICHWIARSKI.

Prawdziwie, że nie umiem — nie wiem jak przeprosić....
Za długiem w jedno miejsce chodzić kilka razy,
Zawsze trzeba – lecz teraz jestem na rozkazy.

HRABIA.

Nie tracąc dłużéj czasu, powiem ci mój panie,
Że moje interesa w nienajlepszym stanie.
Potrzebuję pieniędzy — dam ci koczyk modny,
Wiedeński — lekko nosi — piękny i wygodny.
Wieleż się mogę na to pieniędzy spodziewać?

LICHWIARSKI.

Na pamięć nic nie mogę panu obiecywać,
Potrzeba piérwéj widzieć, a ocenić potém;
Lecz koczyk będzie dla mnie zbyt przykrym kłopotem.

Schować go do kieszeni, pan wiesz że niemożna,
Właśnie moja wozownia na teraz nie próżna.
Trzeba nająć — Pan może nie zechce zapłacić.
Sukno mole zjeść mogą — mogłbym na tém stracić.

HRABIA (*niecierpliwie*).

By zwalczyć te trudności dam ci procent znaczny,
Lecz powiedz, co dać możesz i nie bądź dziwaczny.

LICHWIARSKI.

Zresztą pojazd-bym przyjął na moje podworze..
Ale nie wiem — myśl moję pan odrzuci może,
Nie chciał-bym go obrazić...

HRABIA.

Jakież przedsięwzięcia?

LICHWIARSKI.

Na pojeździe dam numer, wyślę do najęcia,

HRABIA.

Co! kocz z memi herbami i znany w Warszawie!..

LICHWIARSKI.

Herb!... to łatwo zamażę — znaku nie zostawię...

HRABIA.

Herb mazać!

LICHWIARSKI.

Cóż to szkodzi: to nie nowość przecie!
Nieraz swe herby sami szkaradniéj mażecie.

HRABIA.

Wolę sprzedać, połowę chociaż na nim stracę —

LICHWIARSKI (*biegnie za Hrabi*

Wpół darmo! ja go kupię, gotówką zapłacę.

PROSZĄCY.

Panie! — choć jestem biédny, kocham przecie żonę.
Porzucić jéj nie mogę — byłem w lepszym stanie
Nim przyszedłem do nędzy. — A takie rozstanie,
O śmierć-by przyprawiło kobietę cnotliwą.

LICHWIARSKI.

Na żebraczkę jak widzę, ma duszę zbyt tkliwą!
Ja płacę na zakłady — tu nie dam nikomu.
Tam się udaj i dłużéj nie nachodź mi domu.

PROSZĄCY.

Idź do dobroczynności!... to jest łatwy sposób,
Pozbycia się natrętnych i ubogich osób!...
Tam ich dosyć — tém słowem zwykle ci zbywają,
Co w domu wesprzeć nie chcą — tam wsparcia nie dają.
„Na żebraczkę zbyt tkliwaś nieszczęśliwa żono!“
Czyż żebrakom mieć serce ma być zabroniono?!
Czucie nie zawsze z złotem zwykło chodzić w parze,
Więcéj niż wy panowie — my czujem nędzarze. —
(*wychodzi*)

AKT 3.

SCENA I.

LICHWIARSKI, CHCIWOSZ.

Lichwiarski siedzi przy szufladzie stolika, wydobywa z niéj fanty, do których przymocowane kartki z notatkami — Chciwosz trzyma księgę, w któréj podług numerów są opisywane zastawy, ilość pożyczonych na nie pieniędzy i termin wykupu. —

LICHWIARSKI (*wyjmuje z szuflady*).

Brylantowe kolczyki.

CHCIWOSZ.

To numer dwunasty.

LICHWIARSKI.

Te kolczyki własnością są pewnéj niewiasty,
Ona raz w tydzień daje uczoną herbatę,
Przyprawiła małżonka o majątku stratę.
Gdy nie mógł przywiązania dać w złocie dowodu,
Nieszczęśliwa! musiała iść z nim do rozwodu!
Niedługo była wolną — w inny weszła związek,
Na nowego małżonka kładąc obowiązek,
Aby nie był zazdrośny, trzymał dom otwarty,
By młodzież mogła tańczyć, zabawiać się w karty.

(śmiejąc się)

Idąc za młodą modą, chociaż sama stara,
Spija dobrze szampana i pali sygara!

CHCIWOSZ (*czyta*).

Te kolczyki w dwudziestu dukatach zastawne.

LICHWIARSKI (*dobywa*).

A teraz bransoletki w korale oprawne.

CHCIWOSZ (*czyta*).

Trzynaście — na nie dałeś złotych spełna dwieście.

LICHWIARSKI.

Są własnością kobiéty najpiękniejszéj w mieście.
Bliski małżeńskich związków, wiernością wsławiony,
Walery je z Karlsbadu wiózł dla narzeczonéj.
Nie wiem z jakiéj przyczyny zerwał się ten związek,
Żaneta go pocieszać miała obowiązek.
Za uwieńczoną skutkiem pracę téj kobiéty,
Zwrócone przez kochankę jéj dał brasolety.

Późniéj różne koleje losu przechodziła,
Dziś w nędzy, resztki mienia u mnie zastawiła.

CHCIWOSZ (*czyta*).

Czternaście!

LICHWIARSKI (*wyjmuje*).

Z klamrą złotą z włosów upominek.—
To barona. — Wyzwany raz na pojedynek,
Wolał niż we krwi własnéj, kąpać się w szampanie,
I w miejsce pojedynku dał sute śniadanie.
Lecz że nie miał czém płacić za wino i wety,
Pożyczył na te włosy i na pistolety. (*wyjmuje pistolety*)
Aby się zabezpieczyć na przypadek wszelki,
Mnie zostawił broń palną, na plac wziął butelki.

CHCIWOSZ (*czyta*).

Pistolety z włosami w stu złotych zastawne.
Teraz numer piętnasty:

LICHWIARSKI (*przypatruje się wyjętéj miniaturze*).

Oczy słusznie sławne!
Patrzaj, jak ta Hortensija widocznie trafiona!

CHCIWOSZ.

Co mówisz? i Hortensija tobie zastawiona!
Któż śmiał w twojéj szufladzie tę piękność osadzić!

LICHWIARSKI.

Narzeczony. — Nie waż się tajemnicy zdradzić,
Bo mógłbyś rozgłoszeniem zaszkodzić mu wiele.
Wkrótce jego z Hortensiją nastąpi wesele.

CHCIWOSZ.

Zastawić miniaturę! zgrzeszył!

LICHWIARSKI.

Ani słowa!
Ale za to jéj obraz mocniéj w sercu chowa.

Z rana wraz z słowem dostał miniaturę w darze,
W południe przybiegł do mnie — rzekł: „przystojność każe,
„Abym dla narzeczonéj dał dziś podwieczorek,
„Lichwiarsiu! ty mnie ratuj, bo pusty mam worek —
„Na zastaw ci przynoszę, lecz w wielkim sekrecie,
„Miniaturę kochanki. — Tyś dyskretny przecie!
„Nie wydasz mnie.“ Wnet skończył ten interes cały.

CHCIWOSZ *(czyta)*.

Dałeś mu trzy dukaty i pierścionek mały.

LICHWIARSKI.

A tak jest.... ten pierścionek, w dwóch dukatach dostał.
Darował go kochance.

CHCIWOSZ.

Tęgoś go ochłostał.
Pewnie to ten pierścionek, coś dostał w talarze.

LICHWIARSKI

I cóż ztąd! — Tak taniego nie mógł ponieść w darze.

CHCIWOSZ *(czyta)*.

Termin wykupu fantów na dziś oznaczony,
Procent, podług zwyczaju z góry potrącony.

LICHWIARSKI.

Dla tego też w procentach nie miewam zawodu.
Ktoś idzie. — *(Alfred wchodzi)*.

CHCIWOSZ.

Nieznajomy z saskiego ogrodu.

SCENA II.

Ciż i ALFRED.

ALFRED *(do siebie)*.

Jakże odrażającą jest postać lichwiarza!
Poznaję go po wzroku — jakąż niechęć wraża!

(podaje adres Lichwiarskiemu)

Czy to jest pański adres? — czym się nie omylił?

LICHWIARSKI.

Tak, ja jestem Lichwiarskim.

ALFRED.

Nie będę się silił
Na barwienie w wyrazy obecnéj niedoli.
Chcę pieniędzy na zastaw.

LICHWIARSKI.

Według pańskiéj woli
Wszystko zrobić gotowym. Niech Pan fant pokaże.

ALFRED (*Wyjmuje miniaturę — nie może się z nią rozstać i z żalem mówi*).

W czyjeż ręce skarb drogi ja się oddać ważę?
Z tą jedyną pamiątką rozstanie chwilowe,
Smutne rodzi wspomnienia i boleści nowe.
Jeśli ojca wynajdę — on cierpienia skróci,
Do szczęśliwego syna, matki obraz wróci.
Lecz jeśli nieba dla mnie nie będą łaskawsze.
Ach! ta myśl mnie zabija! — Utracić na zawsze
Pamiątkę tak mi drogą!

LICHWIARSKI (*chciwie*).

Czegoż Pan odwleka!
Ja mam wiele zatrudnień, czas na mnie nie czeka.

(Alfred podaje miniaturę — Lichwiarski chciwie przypatruje się brylantom z obu stron — nie zważając na malowanie — Gra artysty powinna odpowiadać słowom Alfreda)

ALFRED.

Całe jego jestestwo przeszło tylko w oczy!
Zda się, że podła chciwość na wierzch je wytłoczy.

LICHWIARSKI (*uniesiony*).

Jaki ogień! ten w środku — waży... dużo waży!

ALFRED.

Jak się trzęsie! krew wszystka bije mu do twarzy!

LICHWIARSKI.

Brylanty przecudowne — ten dobór nielada.
(do Alfreda)
Z przeproszeniem, jak dawno pan też to posiada?
Zapewne za granicą to było sprawione?
Poznaję, bo brylanty ślicznie osadzone.

ALFRED.

Nie sądzę, iż potrzeba, abym się tłumaczył.
(wyciąga rękę)
Oddaj albo otaksuj, jeżeliś zobaczył
(z ironiją)
Ja mam wiele zatrudnień, czas na mnie nie czeka.

LICHWIARSKI.

Ach jaki ogień sypią zbliska i zdaleka!
Na jaki termin pan chcesz pieniędzy odemnie!
Jaki procent? ugodzić trzeba się wzajemnie.

ALFRED.

Nie pytaj się — potrafisz z potrzeby korzystać!
Kładź warunki — na wszystkie będę musiał przystać.

LICHWIARSKI.

Cztéry procent na miesiąc gdy na termin krótki,
Bo z długiego trzymania fantów przykre skutki.
Trzeba je strzedz ustawnie, tak jak oka w głowie. —
Niewyrozumiałymi są na to panowie.
Może mi kamyk zginąć albo się uszkodzić,
W takim razie musiałbym wszystko wynagrodzić.
Niechno pan tylko zważa — bo to się tak zdaje....

ALFRED (*niecierpliwie*).

Nie mogę słuchać dłużéj, na wszystko przystaję.
Dasz pięćdziesiąt dukatów?

LICHWIARSKI.

Dołożyć wypada
Czas, po którego przejściu zastawa przepada.
Niechaj więc pan oznaczy termin wykupienia.

ALFRED.

Dwa tygodnie czy można?

LICHWIARSKI.

Wszystko do zrobienia,
Wszelką powolność znajdziesz pan u swego sługi.

ALFRED (*na boku*).

Do znalezienia ojca jest ten czas dość długi?
(Biorąc minijaturę mówi z czułością).
Kochałaś mnie za życia, i teraz gdyś w niebie,
Potrzebnego dziś wsparcia doznaję od ciebie!...

(Podczas mówienia Alfreda, Chciwosz za dyktowaniem Lichwiarskiego zapełnia przygotowany blankiet — Lichwiarski podając Alfredowi mówi).

LICHWIARSKI.

Niech pan raczy podpisać — oto jest umowa,
Spisana w zwykłéj formie, nie brakuje słowa.

ALFRED (*szybko przebiega i podpisuje*).

Dajże teraz pieniądze

LICHWIARSKI.

Już są policzone.

ALFRED (*zdziwiony*).

Weksel i certyfikat?...

LICHWIARSKI.

Byłoż wymówione,
Że mam dać w gotowiznie? — Weksel na bankiera...

ALFRED.

Na takiego, co pewnie już w nędzy umiera!

LIDHWIARSKI.

Przepraszam, on swe weksle całkowicie płaci.
Zaledwo pan siedm procent, może i mniéj straci.
Ja sam go za ten procent wykupię od pana.

(ALFRED (*na boku*).

O potworo obrzydła! chciwości nieznana!
(do Lichwiarskiego).
A tenże certyfikat w jakiéj dałeś cenie?
Zapewne w nominalnéj! —

LICHWIARSKI.

O wcale że nie!
Bo za sto, dziewięćdziesiąt tylko Panu liczę

ALFRED (*wychodząc*)

Podły! niech cię nasycą nieprawe zdobycze.
Nic ztąd w grób nie uniesiesz — nikt cię nie zapłacze.
(*wychodzi*)

LICHWIARSKI (*obojętnie biorąc minijaturę*).

Niech fantu nie wykupi, obelgi przebaczę.

AKT 4.

SCENA I.

LICHWIARSKI — ALFRED.

LICHWIARSKI.

Cierpię na twém ubóstwie, chciałbym dać ci wsparcie,
Lecz że nié mam majątku, wyznaję otwarcie.
Pobierane procenta i ciągłe staranie
Zaledwo bardzo skromne dają utrzymanie! —
Gotówka teraz trudna — Stopa procentowa
Bardzo szczęśliwie wzrasta, i to mnie zachowa
Od upadku, co dawniéj grozić mi się zdawał.
Dużom dawniéj utracił, różnych klęsk doznawał. —
Smutne koleje losu nieraz przechodziłem,
Może-byś nie uwierzył jak wiele straciłem.
Nauczony nieszczęściem, umysł mam przytomny.
Umiem sobie poradzić; w żądaniach niezłomny
Próżną litością już się nigdy nie unoszę,
I dla tego już teraz umiem zbierać grosze.
Lecz nie wiele zebrałem, mam różne wydatki.
Dużo mnie kosztowała słabość twojéj matki.
Tak długo chorowała! a wiesz co to chorzy
Potrzebują wydatków. — apteka, doktorzy!...
Następnie różne klęski tak mnie zrujnowały,
Że prawie utracałem już majątek cały,
Gdy jedne przedsiebierstwo w porę się zdarzyło,
I ważną w położeniu zmianę sprowadziło.
Lecz miałem dużo strachu — przedsiębierstw się zrzekam,
Siedząc w domu spokojnie, na potrzebnych czekam,
Co z fantami przychodzą — to najlepsza sprawa!
Na nic się nie narażam.

ALFRED.

Twojaż dobra sława,
Ojcze! czyż nic nie traci przez lichwiarskie życie?

LICHWIARSKI.

Młodzi! zawsze o jakiejś tam sławie marzycie!
Wiedz że sława, honory, dobry byt — tytuły,
Jak cień człeka, tak się te trzymają szkatuły.
Od niéj tylko zależą. — Złoto! to jest dusza!
Jego brzęk najgłośniejszy, on wszystko porusza.
Przejmij się tylko moim sposobem myślenia.

ALFRED.

Ojcze! pragniesz przytłumić we mnie głos sumienia?
Zatrzymaj sobie krwawo zebrane dostatki —
Ja niczego nie żądam oprócz wniosku matki,
Ten mi słusznie należy.

LICHWIARSKI.

Słuchaj mój Alfredzie:
Mam plany, spełń je tylko, zapomnisz o biédzie.
Nie mów o wniosku matki — to rzecz przedawniona!
Nie martw mnie. — Tobie synu potrzebną jest żona,
Z posagiem przyzwoitym — o tém pomyślałem.
Karolina, którą ja z dziecka wychowałem,
Wszelkich przymiotów pełna, — a co nadto więcej,
Ma posagu po matce sześćdziesiąt tysięcy.

ALFRED.

Przywiązanie nie posag, związkom daje wdzięki,
Nigdy-bym za pieniądze nie chciał sprzedać ręki.

LICHWIARSKI

Dobrą jest filozofija, dobre i morały,
Ale posag jest lepszym niżli czcze zapały,

O nie — to niepodobna! tego nie przyznaję. —
Ja wierzę jeszcze w cnotę. — O słodka to wiara!
Jeszcze mnie nie wyzuła z niéj mych nieszczęść miara.
Jeszcze całéj ludzkości jestem przyjacielem —
Dla mnie środkiem pieniądze, ale nigdy celem
Wyłącznym — by mu wszystko poświęcić bez miary.
Czemuż ojciec nie dzieli tego przekonania!
Czemuż tak mało godnym mego przywiązania!
Ach ileż cierpię na tem — Jam tak kochać zdolny....

AKT 5.

SCENA III.

LICHWIARSKI — CHCIWOSZ — ALFRED.

ALFBED (*mówi do lokaja*).

Zwróć bilet — droga twoja była-by daremną.
(do ojca)
Władysław zaraz będzie — przyszedł tutaj ze mną —
(lokaj wychodzi).
Wygrał proces zupełnie!.. w téj chwili szczęśliwy,

LIGHWIARSKI.

Więc o posag nie będzie pewnie natarczywy?
Władysław chłopiec dobry, jakich jest niewielu,
Pragnąłem jego szczęścia, w tym pisałem celu.
Wiem że on z Karoliną miłością złączony,
Pragnę by ten interes dziś był załatwiony.
Czy się nie przesłyszałem?. proces Władysława...

ALFRED.

Poszedł jak najpomyślniéj — Lubo jego sprawa,
Dla swojéj zawiłości dość była wątpliwa.

Widać, że to nie zawsze możniejszy wygrywa.
Spełnione Karoliny najsłodsze nadzieje!
Nic jéj przyszłego szczęścia, nic już nie zachwieje!
Władysław dziś majętny, z nią swój los podzieli.

LICHWIARSKI.

Obrazem téj przysłości serce się weseli!

(coraz żywiéj).

Wygrał procent — majętny! weźmie Karolinę
Bez posagu! ja z radości zginę.

(ściska Chciwosza).

Nie mogę teraz wątpić, że posag zatrzymam.

CHCIWOSZ.

Tak, i ja pod tym względem wątpliwości nié mam.
Trzeba teraz z Alfredem rozpocząć układy.
Przejrzej naprzód papiéry; słuchaj mojéj rady.

ALFRED.

Gdy szczęście Karoliny zapewnione prawie,
Bo męża cnotliwego znajdzie w Władysławie.
W tém ojcze za twe trudy otrzymasz nagrodę.

(z pokorą).

Pozwól, niech ci raz jeszcze na pamięć przywiodę
Że syn twój z niedostatku jest w słusznéj rozpaczy.

LICHWIARSKI (*do Chciwosza*).

Łzy jego serce miękczą.

CHCIWOSZ.

Łza nie wiele znaczy!

Targuj się — to jest pora — gdy ją raz utracisz,
Siebie tylko obwinisz, gdy wszystko zapłacisz.

LICHWIARSKI.

Ty się za mnie potarguj, bo ja nié mam siły,
Piérwsze to łzy, co moję stałość rozbroiły.
Widzę, że się natura praw swych dopomina.

CHCIWOSZ.

Dzisiaj miałażby wybić twéj skruchy godzina!
Natura! co ty mówisz? to próżna chymera!
Alfred ci dziś połowę majątku wydziera.

LICHWIARSKI (*przerażony*).

Kto wydziera? co mówisz? Ach prawda niestety!
Alfred już ojco-bójcze gotuje sztylety.
To wspomnienie boleścią me serce przenika.
Mów za mnie.

CHCIWOSZ.

A więc zacznę (*nieśmiało do Alfreda*) Mój panie łaskawy...

ALFRED.

Czego chcesz?

CHCIWOSZ.

Chcę powiedziéć, że do każdéj sprawy,
Do układów, potrzebny jest zawsze ktoś trzeci,
Który w układających chęć do zgody nieci,
Zbliży obiedwie strony, ich prawa wyjaśni.
Trzeci mówi za obu — tak nikt się nie zwaśni.

ALFRED.

Trzeciego tutaj sądzę wcale niepotrzeba,
Gdy czuciem, ludzkie serca obdarzyły nieba.
To czucie mówić będzie za prawami syna
I w niém to z mojéj strony jest zwłoki przyczyna.
Nie chcąc utorowanym, niestety! iść śladem
Tych dzieci, co zgorszenia stając się przykładem,

Przez sądy dochodziły praw swych uiszczenia,
Ja się pod sąd twojego oddaję sumienia.
Gdybyś w sobie głos jego przytłumić był zdolnym,
Ja znajdę w tém pociechę, że byłem powolnym.
Niech czucie za mną mówi, — ja zaś każdym czynem
Dowiodę...

CHCIWOSZ.

Naprzód dowiedź to, żeś jego synem,
Nie dość na pięknych słowach, dowodu potrzeba. —

ALFRED.

Tak słuszną wzgardę zdołam-że stłumić? — O nieba!
Podły doradco! plany twe zgaduję — zniszczę!...

LICHWIARSKI.

Dowiedź to, czego żąda — a ja się uiszczę.
Potrzeba mi dowodu, bo powiem ci szczerze,
Że w tajemne pociągi, w sympatije nie wierzę.
Jakkolwiek się wzruszyłem, tém że jesteś w biedzie —
Dowiedź żeś moim synem, dowiedź mi Alfredzie!
Widzisz, jak jestem z tobą otwarty — jak szczery. —

CHCIWOSZ.

Pewnie musisz posiadać jakowe papiéry? —

ALFRED (*podaje ojcu*).

To są moje dowody.

CHCIWOSZ.

Przejrzéj je dokładnie.

ALFRED.

Mniemam, że z nich o wszystkiem przekonasz się snadnie.

LICHWIARSKI (*Przegląda — po chwili mówi z żalem*).

Ach to mi przypomina lata upłynione!
Przeszłe moje postępki — nieszczęśliwą żonę!

CHCIWOSZ.

Za nadto jest wzruszonym — straciłem w nim człeka?

LICHWIARSKI.

Smutna przeszłość! I przyszłość nie lepsza mnie czeka!

ALFRED (*z zapałem*).

Nie ojcze — przyszłość nowe szczęście ci rozniecil!
Przestań żyć dla pieniędzy, a zacznij dla dzieci,
Przytłum w sobie do zbiorów tyle sprosną żądzę.
Szczęście nie same tylko dać mogą pieniądze.
Starość na wdzięcznych dzieci, gdy zakończysz łonie,
To ci da prawe szczęście, to ulgę przy zgonie.
Ten uwłacza sam sobie, przeciw Bogu bluźni,
Kto się z dziećmi niesłusznie dla majątku różni.

LICHWIARSKI.

Odalcie się. — Na chwilę niechaj sam zostanę!
Odnowiłeś Alfredzie źle zgojoną ranę.
Chciwoszu? niechaj ciebie dłużéj nie oglądam. —
Masz na drogę — już więcéj twych usług nie żądam.

CHCIWOSZ (*patrząc co otrzymał*).

Za prędko się rozstaję — tak niespodziewanie!
Dał nagrodę nie licząc! — tak znaczną! — Moj panie

LICHWIARSKI (*patrząc w rękę Chciwosza*).

Alboś zmienił naturę — lub zmysły utracił —
Pokaż — pokaż Chciwoszu, ilem ci zapłacił?
Tak wiele! *(chce coś ująć, Chciwosz cofa rękę)* ach odejdźcie!

CHCIWOSZ.

Smieszne to zdarzenie!
Lichwiarski czuły ojciec! Ma jeszcze sumienie?

Och to cud niesłychany. — Ja w ten cud nie wierzę —
Jeżeli się odmienił żałuję go szczerze.
Ja zaś na własną rękę interesa zacznę.
Zrobiłem trochę grosza — mam stosunki znaczne.
Znają mnie utracijusze z prowincyi — w Warszawie —
Nie zabraknie zarobku — jestem pewny prawie.
Bo te lwy (jak ich zowią) to raczéj barany,
Z których wełnę zbieramy w sposób niesłychany,
Cały rok strzygąc skórę. — Żegnam was panowie.
Wypiję sobie lampkę za wszystkich lwów zdrowie!

(Chciwosz wychodzi — Po jego wyjściu Alfred czule całuje rękę ojca i wychodzi).

J. K.

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

376. Opis przejazdu przez Niemcy,

w listach Wacława do Siostry swojéj Jadwigi przez K. z T. Hofmanową. Lipsk. Nakładem i trzcionkami Breitkopfa i Härtela 1844. str. 228 w szesnastce.

Jak we wszystkich dziełach znanéj nam autorki, tak i w tém widać cel stania się użyteczną młodym czytelniczkom. Jakoż istotnie znajdą tu pożytek z rozrywką połączony; niech nam się jednak godzi powiedzieć, iż niekiedy piętnastoletni Wacław, piszący do dwunastoletnéj Siostry, wdaje się w zbyt długie chronologiczne wypisy z Historyi Książąt niemieckich. Szczególniéj wydała nam się mało zajmująca, a utrudzająca pamięć litanija książąt od str. 156 do 173 która młodych Polek bardzo obchodzić nie może. Natomiast w opisach krain, — mieszkańców i t. p. młody Wacław bywa nader zajmujący, jak n. p. w Opisie Norymberga. Postrzeżenia i uwagi jego częstokroć zdradzają dojrzalsze i doświadczeńsze pióro — Przytaczamy tu mały wyjątek z listu drugiego, w którym Wacław księstwo altenburgskie opisuje.

„Księstwo Altenburskie to przedstawia szczególnego i odmiennego od państw innych, że tu wieśniacy, a po naszemu mówiąc Chłopi, stanowią większość, nietylko ludności jak wszędzie, ale bogactw i znaczenia, jak prawie nigdzie; i oni ubio-

rem, liczbą, dostatkami, najpierwsi zwrócili moje oczy, i najsilniéj zbierałem szczegóły o nich. — Tych i tobie siostro najpierwéj udzielę. *Dziećmi jesteśmy rolniczego narodu, lud wiejski, gospodarstwo wiejskie zajmować nas powinno* i ty znasz moje w tych rzeczach upodobanie. Chłopi Altenburscy głośni z zamożności swojéj, i z przywiązania do rodzinnéj ziemi, do ojczystych obyczajów, do tego wszystkie co stare, pochodzą od Słowian Wendów; są więc w pewném pobratymstwie z nami, i słyszałem mówiących że kto wie, czy cały szczep Sławiański jako zajmujący kraje rolnictwu sprzyjające, nie był powinien mieć wszędzie podobnego urządzeniu, jak je ma dotąd w tym drobnym odziomku swoim; kto wié czy nie należało wszędzie dać pługowi piérwsze a przynajmniéj równe miejsce z koniem i Szablą? W tem szczupłem księstwie Chłopi lubo wielu z nich jest czynszownikami pozostałych z dawnych czasów hrabiów, i baronów, i nawet odrabia pewną pańszczyznę — chłopi mówię, mają przecież zupełnie równe ze szlachtą i mieszczanami prawa obywatelskie. — Na sejm narodowy, sami z pośród siebie wybierają i wysyłają reprezentantów. W wieśniaczych ubiorach zasiadają w Izbie obrad; owi prawdziwi ziemscy posłowie, przedstawiają potrzeby Ludu, o których z własnego doświadczenia wiedzą; odwiedzają panujących, i on sam niekiedy w ich ubiór się stroi, zabawy ich dzieli — Prawda że oświata, owo rzetelne porównanie ludzi, jest niemal jednakowa u nich, jak w tak zwanych wyższych stanach; prócz szkół krajowych które podobnie jak w całéj Saksonii najpotrzebniejszych nauk udzielają każdemu, wielu Włościan wysyła synów do szkół większych i do uniwersytetów; córki uczą się muzyki i rzadko widzieć chaty, gdzieby klawikortu nie było. Te wyższe umiejętności i talenta nie wyprowadzają ich bynajmniéj z własnego stanu; nie obmierzają go w ich oczach, jak się dzieje zwykle w mniéj oświeconych. Zajęci przez dzień cały rolniczą i gospodarską pracą, wieczorami w niepogodę szukają wytchnienia i zabawy wśród książek i muzyki. Niektó-

rzy z nich piszą i drukują dzieła; widziałem sam Chłopa jednego który zawołanym jest poetą, i wcale uczonym; a pomimo tego ani przyjdzie żadnemu na myśl, aby zaledz miał ojczyste pole, zrzucić Chłopski ubiór, albo wstydzić się stanu swojego. Owszem, im który z nich oświeceńszy i bogatszy, tym troskliwiéj czystość dawnego rodu piastuje, tém więcéj ceni użyteczny stan swój, i zakałem mianowałby najmniejszą zmianę (*) W tym celu baczni są bardzo Chłopi Altenburscy, na związki Małżeńskie; żaden nie weźmie żony zkąd inąd, ani też nie da córki swéj obcemu. trzymają się wszyscy patryarchalnie i jakby jednodusznie. — Znajomość tę i związki utrzymuje bardzo wspomniony obchód Vogelschiessen na który w znacznéj liczbie się zgromadzają, a więcéj jeszcze święto rolnicze Kermse zwane — Co rok po skończonych żniwach bywa trzy tygodnie ciągłéj uroczystości (**) koleją w trzech częściach księstwa przez dni ośm, wszędzie w chatach sporządzają placki, biją wieprze, pieką tłuste gęsi, cała ludność wiejska się zbiera, odwiedza i częstuje się wzajemnie — Młodzież tańcuje i związki serdeczne zawiera; starzy piwko piją, tytoń kurzą. w karty grają i radzą — W ciągu Kermse układają zwykle całego ludu wiejskiego sprawy, działy, ugody a nadewszystko małżeństwa które prawie zawsze z pamięci na dobro ogólne

(*) A czyż u nas nié ma podobnego Ludu, zwłaszcza w owych sławnych czterech miastach *Ogrodami krakowskiemi* zwanych, a któremi są; Czarna wieś, Lobzów, Nowa wieś i Krowodrza? — Są tam rodziny Chłopków, które za Kazimierza wielkiego dawne były, których synowie dziś do Akademii Krakowskiéj uczęszczają, a skończywszy nauki wracają orać zagon Ojczysty. — Nicby nie wadziło, gdyby się u nas znalazł jaki nowego rodzaju Paprocki lub Niesiecki który napisałby Dzieło, o dawnych rodzinach Chłopskich — ale musiałby szukać materjałów nie po księgozbiorach, ale w Chatach z ust starych Gospodarzy *(Przypisek wydawcy)*,

(**) Cóś podobnego do naszych Obżynków lub dożynków, na większą tylko skalę *(P. Red.)*

dobierane bywają; uboższą dziewkę łączą z jedynakiem, bogatego gospodarza; dziedziczkę znacznego majątku dają tam gdzie jest liczne rodzeństwo; gdyż im nie idzie *o wyniesienie kilku rodzin*, ale o utrzymanie wszystkich" i t. d.

W drugiém znowu miejscu (na str. 118) dość postępowie wyraża się Autorka, przenosząc kielnie, nożyce i cyrkle, nad herby — a na następnéj stronnicy, wyraźniéj już mówi iż chłopi Altenburscy i mieszczanie Norymberscy, którzy od lat kilkuset ród prowadzą i dowody na to mają, nauczyli i przekonali, że pierwszeństwo szlachty nic nie znaczy, gdyż każdego człowieka dziś żyjącego, równie dawne jest pochodzenie! *An. S.*

377. Kalendarzyk Toaletowy na r. 1845.

Warszawa. Nakład Franciszka Spiess i spółki, w drukarni J. Unger (czemu nie *Ungra?)* str. XXXII i 117 w dwunastce.

Prawdziwie się powszechności polskiéj przysłużyła księgarnia Spiessa, wydając pod formą lekką, tyle poważniejszych rad, przestróg, a nawet niekiedy i nauk, *w kalendarzyku*, w obsłonkach powiastki któréj miano: *Rady Babki przy gotowalni wnuczek*. Namby się zdawało (czego jednak za niezbitą prawdę nie podajemy), iż tylko pióro i znawstwo niewieście, mogło równie ponętnie i treściwie moralność odziać w strój nieco bardziéj *wabny*, a obcym mówiąc językiem, *kokieteryjny*. Kończy Kalendarzyk powieść p. t. *Cnota bez mocy charakteru*.

378. Taryffa domów Miasta Warszawy i Przedmieścia Pragi,

z wielu użytecznémi informacyami. W Warszawie nakładem i drukiem Józefa Unger. 1844. str. 216 w dwunastce.

Jest tu na czele króciutki opis Warszawy. Nam by się zdawało, iż cała ta broszurka, tyle użyteczna i niezbędnie dla mieszkańców potrzebna, wymagałaby drugiego wydania, pod każdym względem lepszego.